№ 4 Warszawa, dnia 10 (22) Stycznia 1881 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

DWUKROTNE OCALENIE NAPOLEONA I.

Oddalając się coraz bardziej od epoki „wielkiego wojownika” naszego stólecia, już dziś z upływem trzeciego pokolenia od czasów napoleońskich, na które patrzali dziadowie nasi, a które nam przedstawiają się już prawie w świetle bajecznem i legendowem, możemy należycie ocenić i charakter nowoczesnego zdobywcy i co dla nas ważniejsza, stosunek jego do nas i do naszego kraju. Wydane w ciągu półwieku liczne dzieła historyczne i pamiętniki wykazują dowodnie, że ów mąż niepospolity był najzupełniejszym egoistą i dbał przedewszystkiem o siebie. Tak np. mało go obchodziły straszne klęski 1812 roku: był wesół i w dobrym humorze, gdy udało mu się ocalić własną osobę; chwalił się wtedy że stracił wprawdzie w wyprawie rosyjskiej 300,000 ludzi, ale pomiędzy temi *zaledwie* 30,000 Francuzów! Była więc to w oczach jego błahostka, o którą troszczyć się nie było warto...

Rozwiał się powoli i ten czar olbrzymi, którym Bonaparte olśnił i zachwycił przodków naszych. Pokazało się dowodnie, że troszczył się o to jedynie, aby utworzone przezeń księztwo *warszawskie* było wydajnem źródłem pokarmu dla armat (une pepinière de la chair aux canons). Istotnie też pod tym względem wyssał i wyeksploatował kraje dawnej Polski do ostatnich krańców możliwości.

Potwierdzenie powyższych pewników drukowane były w Tygodniku Illustrowanym w zarysach z czasów księstwa warszawskiego przez p. Falkowskiego. Jednocześnie czytaliśmy nieco podobnych szczegółów i w Bibliotece Warszawskiej, w opowiadaniu Kajetana Kraszewskiego p. t. „Od szkolnej ławy”. Jedna tylko strona faktyczna stosunku Polaków do Napoleona I, ciekawa i mało znana, nie została należycie uwzględnioną w obu wymienionych pracach i to właśnie było dla nas pobudką do napisania niniejszego artykuliku. Rzecz jest taka, że nietylko zastępy polskie przelewały krew pod sztandarami Napoleona na wszystkich polach bitwy od piramid i San Domingo do Berezyny, przewyższając męztwem i poświęceniem wszelkie inne wojska zdobywcy, ale nadto Polacy *dwukrotnie* ocalili samą osobę Napoleona od zguby albo od niewoli i przy tem ofiarą życia wielu z pomiędzy siebie.

Oba wypadki zdarzyły się w czasie kampanii 1812 roku. Pierwszy miał miejsce w początku jeszcze odwrotu, po bitwie pod Małym Jarosławcem. We wzmiankowanym powyżej artykule, „Od szkolnej ławy” znajdujemy o tym fakcie następujące słów kilka (Bibl. Warsz. 1880 lipiec str. 33).

„Gdyby nie sławny szwadron Kozietulskiego, sam Napoleon, jak Bóg na niebie, dostałby się był w ręce kozaków. Gdy bowiem korpus awangardy znajdował się o kilka mil od głównej kwatery, pod Małym Jarosławcem, i dały się słyszeć w tej stronie wystrzały, Napoleon, do dnia jeszcze, wyjechał konno z jenerałami Bessières, Colincourt i Rapp, mając przy sobie na służbie jeden tylko szwadron szefa Kozietulskiego, gdzie byli również jenerał Pac i pułkownik Klicki; mgła gęsta i ciężka stała już o trzy kroki jak biała ściana; nic widzieć nie było podobna. W tem potężny tentent dał się słyszeć z boku i od czoła; Bessières żywo posunął się naprzód, a dostrzegłszy chmary kozaków, którzy już prawie ich otaczali, pędem powrócił do cesarza z oznajmieniem o grożącem niebezpieczeństwie. Napoleon, nie stworzony bynajmniej, w oka mgnieniu kazał Kozietulskiemu sformować szwadron i atak przypuścić; chciał nawet sam postępować dalej, ale go jenerałowie wstrzymali. Dzielni ułani, nie widząc prawie nieprzyjaciela przed sobą, przypuścili szaloną szarżę, przed którą kozacy pierzchnęli, wysłane zaś natychmiach w sukurs dwa półki huzarów do reszty oczyściły drogę.

Byli to ci sami ułani Kozietulskiego, którzy zdobyli szturmem wiekopomne wąwozy Samo Siérry.

Drugi ważniejszy jeszcze wypadek, gdy ułani polscy osłonili swemi piersiami Napoleona i ginęli dla jego ocalenia, zdarzył się wkrótce potem, a mianowicie gdy cesarz postanowił opuścić resztki swej zniszczonej armii i pokryjomu niemal ruszył nocą ze Smorgoń na Litwie, dążąc przez Wilno do Warszawy, a z tamtąd dalej do Paryża.

Było to 5 grudnia 1812 roku; szalony mróz dochodził do 28 stopni R. gdy Napoleon wyruszył nocą ze Smorgoń. Pan Kajetan Kraszewski we wzmiankowanej pracy poświęca słów kilka opowiadaniu o dziejach tej strasznej nocy, wymienia Stokowskiego i Wąsowicza, którzy z garstką ułanów polskich eskortowali Napoleona, mówi o stracie w koniach i tylko o odmrożeniu nóg i rąk u żołnierzy i przytacza następującą rozmowę cesarza francuzów ze Stokowskim.

— Półkowniku, rzekł Napoleon, gdybym miał się w ręce nieprzyjaciół dostać, proszę was i nakazuję, abym z waszych rąk raczej zginął.

— Najjaśniejszy panie, odparł śmiało Stokowski, gdyby do tego nieszczęścia przyjść miało, już z nas natenczas żaden żyw nie będzie.

Z odpowiedzią pułkownika, dodaje autor wspomnień, wszyscy zawołaliśmy jednogłośnie: Vive l'Empereur!

Pomimo rozwiązania się dziś sympatyi dla korsykańskiego bohatéra, niepodobna nie przyznać, że powyższa anegdota historyczna wystawia nam Napoleona I nic w takim świetle jak jego synowca, który w 58 lat później jak najśpieszniej oddał swą szpadę Prusakom; odpowiedź zaś Stokowskiego

śmiało można zestawić z odpowiedzią bohaterskich Spartan Leonidasa w wąwozie termopylskim.

Otóż ostatni ten wypadek, dzieje pierwszej nocy ucieczki Napoleona ze Smorgoń daleko dokładniej, obszerniej i z całą grozą opowiedziany został w wydanych przed laty kilku w Paryżu pamiętnikach Pawła de Bourgoing, który znajdował się w armii Napoleona, a następnie zajmował stanowisko ambasadora w Petersburgu i bardzo był dla Polaków przychylnym. Nie pamiętam żeby pisma nasze przytoczyły kiedy zajmujący ten ustęp z dzieła Bourgoing; dlatego podaję tu skrócone jego tłomaczenie. W niektórych szczegółach to opowiadanie nie zgadza się z przytoczoną wzmianką w artykule „Od szkolnej ławy”, jak to nawet sami czytelnicy osądzą. Paweł de Bourgoing dodaje, że w opowiadaniu swem korzystał z pamiętników hr. Dunina-Wąsowicza, adjutanta Napoleona, prawdopodobnie dotychczas nie wydanych; tym sposobem ten epizod przedstawia dla nas podwójny interes. Oto opowiadanie Pawła de Bourgoing.

Napoleon przybył do Smorgoń 5 grudnia, przenocowawszy w zamku Bielica, należącym do hrabiego Zosala (?). Wieczorem zawołał swego adjutanta i zapytał go, czy posiada ciepłe ubranie; otrzymawszy zaś odpowiedź przeczącą, rzekł:

— Dam ci szubę i futrzane buty, gdyż pojedziesz zaraz do Wilna z jenerałem Colaincourt. Śpiesz się i nie mów nic nikomu.

Adjutant miał towarzyszyć cesarzowi, gdyż wieczorem Napoleon udał się w drogę. Było trzy karety i jedne sanie: w pierwszej karecie siedział cesarz z jenerałem Colaincourt, a na koźle zajął miejsce Rustan, wierny mameluk Napoleona; w drugiej karecie siedli marszałek Durok i hrabia Lobau; w trzeciej mieścili się jenerał Lefevre, pułkownik strzelców konnych gwardyi i dwóch lokajów; saniami jechali hr. Wąsowicz i Amodru, masztalerz, który już na początku zawiadomił Wąsowicza, że celem podróży jest Paryż nie Wilno. Eskortę stanowiło 30 konnych gwardzistów, wybranych przez jenerała Lefèvre.

Sanie wyprzedziły resztę powozów, tak że Wąsowicz przybył do Oszmiany godzinę wcześniej od cesarza. Tu dowiedział się, jak niebezpieczną było rzeczą dla Napoleona oddalać się od armii. Komendant Oszmiany ks. Wirtemberski stał z załogą pod bronią, oczekując lada chwila napaści, gdyż armia rosyjska, powoli i z trudnością ścigając Francuzów, z powodu zupełnego spustoszenia kraju, posuwała się nie za armią fruncuzką, lecz równolegle u jej skrzydeł. Często oddziały rosyjskie, głównie kawalerya i kozacy, zbaczali ze swej drogi w celu wyszukiwania żywności, tak że oczywistą byto rzeczą iż orszak Napoleona mógł spotkać który z tych oddziałów. Tego samego dnia przybyły do Oszmiany dwa oddziały wojska polskiego: pułk ułanów gwardyi i 7 pułk legii nadwiślańskiej. Komendant Oszmiany trwożył się mocno o Napoleona: niebezpiecznie było posuwać się dalej, ale również niebezpiecznie było pozostać dzień lub dwa w Oszmianie, gdyż w takim razie wojska rosyjskie niewątpliwie byłyby przecięły drogę Napoleonowi, o którego podróży z pewnością wieść byłaby już do nich doszła: zachowanie tajemnicy było niepodobieństwem. Gdy tak rozprawiano nadjechał Napoleon; przez całą drogę osobliwszy ten człowiek spał mocno w karecie, a dowiedziawszy się o co chodzi, nie okazał wielkiego wzruszenia. Grożące niebezpieczeństwo skłoniło go puścić się natychmiast w dalszą drogę, gdyż podróżować w dzień uważał za rzecz daleko niebezpieczniejszą. Wyraził przy tem życzenie aby mu dano eskortę z ułanów polskich.

— Polacy są mężni, mówił, jeśli na nas napadną, potrafimi się obronić. Niech eskorta otoczy karety; noc jest ciemna, Rosyanie nas nie zobaczą. Trzeba też rachować na szczęście, inaczej trudno czegoś dopiąć.

Ułani wsiedli na koń. Dowódzcą ich był pułkownik Stokowski, któremu kazano jechać około drzwiczek karety cesarskiej.

— Ilu was jest? zapytał Napoleon.

— Jest nas 266, a w tej liczbie 100 ułanów gwardyi.

Przed wyruszeniem w drogę, Napoleon dał parę pistoletów swemu adjutantowi i kazał mu zająć miejsce na koźle, razem z jenerałem Lafèvre; mameluk Rustan przesiadł się do sanek.

— Rachuję na was, rzekł cesarz, jedźmy! Przyglądajcie się pilnie z obu stron drogi.

Następnie odwróciwszy się do Wąsowicza i Stokowskiego, powiedział te pamiętne słowa:

— W razie niebezpieczeństwa, zabijcie mię raczej niż żeby mieli mię ująć.

Głęboko wzruszony temi słowy, Wąsowicz prosił Napoleona o pozwolenie przetłomaczenia Polakom tych słów, a gdy to nastąpiło, ułani krzyknęli: „damy się raczej porąbać w sztuki, nim pozwolimy komu zbliżyć się do Waszej Ces. Mości.

Ruszono więc w dalszą drogę o 2-ej po północy, w mróz 28 stopniowy. Było nieco pochmurno i ta szczęśliwa okoliczność ocaliła może Napoleona; było jednak o tyle widno od śniegu, ażeby nie zabłądzić. Z obu stron drogi widziano nieopodal ognie biwaków rosyjskich. Przed świtem zwykle wzmaga się czynność placówek, ale srogie zimno i znużenie wywarły swój wpływ, ciemność zaś nie dozwoliła Rosyanom dojrzeć orszaku cesarskiego. Sprzyjało więc wszystko ucieczce, a głównie stan nieba, gdyż przy pogodnem niebie Napoleon niezawodnie zostałby schwytany, a w razie gdyby śnieg zaczął padać, orszak musiałby zbłądzić i wpaść w ręce nieprzyjaciół. Szczęśliwy również instynkt miał Napoleon, że niezwłocznie z Oszmiany puścił się w dalszą drogę, gdyż już o świcie, we 4 godziny po odjeździe cesarza, wojska rosyjskie atakowały miasto.

Zabójczy mróz, który utrzymywał placówki nieprzyjacielskie przy ogniach, srogo dał się we znaki polskiej eskorcie Napoleona. Ludzie i konie padali na drodze, bez żadnej nadziei pomocy przy takich okolicznościach: oczywiście z tego powodu nie zatrzymywano się i nikt nie troszczył się o ubywających z szeregu. Już ujechawszy zaledwie mil kilka od Oszmiany, dostrzeżono że ubyło *około sześćdziesięciu*. O świcie gdy orszak przybył do Równopola, w eskorcie pozostało już tylko 36 (wyraźnie *trzydziestu sześciu*) polaków! Rzecz prawie niepodobna do wiary, z powodu swej okropności, a jednak wyraźnie tak mówi Bourgoing. Tak więc „szczęśliwa” ucieczka Napoleona, spokojnie śpiącego w karecie, okupioną, została ofiarą z życia *230* rodaków naszych! Złowrogi dzień 7 grudnia 1812 r. zaświtał niewątpliwie nad 230 skostniałemi trupami, rozsianemi po drodze. Ale cóż to znaczyło dla „bohatera wieku”, którego wojny 17 letnie kosztowały życia więcej niż milion ludzi...

Pokazało się póżniej, że huzarzy rosyjscy i kozacy Płatowa musieli niewątpliwie przechodzić bardzo blizko uciekającego Napoleona i niektóre oddziały może nawet minęły i wyprzedziły orszak cesarski. nie dostrzegłszy go w ciemnościach owej strasznej i mroźnej nocy.

Dalsze dzieje ucieczki Napoleona przez Wilno i Warszawę mniej już nas obchodzą. Dodam tylko jeszcze (z tychże pamiętników Pawła Bourgoing) kilka słów o przybyciu cesarza Francuzów do Warszawy.

Przejechawszy przez most prazki, Napoleon poszedł piechotą do hotelu angielskiego. Żądał, ażeby go prowadzono przez Krakowskie Przedmieście, o którem zachował przyjemne wspomnienie, gdyż tu niegdyś odbywał rewie (na placu Saskim w 1807 r). Ruszył więc z Wąsowiczem i dwoma innemi z orszaku; przechodząc śród tłumu spacerujących, (było to wieczorem 9 grudnia, a powietrze było łagodne), Napoleon miał na sobie pyszną szubę sobolową ze złotemi pętlicami, krytą zielonym aksamitem, z takimże kapiszonem, który mu całkowicie twarz osłaniał, tak że nikt go nie poznał. Szli Krakowskiem Przedmieściem i ulicą Czystą (a może Trębacką) do hotelu angielskiego przy ulicy Wierzbowej. Tu widział się Napoleon ze swoim ambasadorem arcybiskupem Pradt, ze Stanisławem Potockim i innymi członkami rządu księstwa warszawskiego. Szczegóły o jego pobycie w Warszawie znane są zresztą ze spółczesnych pamiętników i ze wspomnień Pradta, drukowanych po raz pierwszy w Paryżu 1815 roku i potem w dziesięciu wydaniach.

O 7-ej wieczorem 10 grudnia 1812 roku. Napoleon opuścił Warszawę, udając się dalej do Drezna.

L. S. W.

WISEŁKA.

(Z TEMATÓW LUDOWYCH).

Oj złośliwa jest Wisełka
Gdy ma kolor szary, —
I zdradliwa dla wiosełka,
Dla żagla i pary.

Czasem — kędy sięgnie oko
Za ten lazur szklisty, —
Tak daleko i szeroko
Świeci step piasczysty.

Statki stoją — tratwy stoją,
Płonąc w słońca blasku, —
Bo flisacy wciąż się boją
By nie siąść na piasku.

Czasem znowu, gdy się zbudzi
Nie zna w złości wiary, —
Niszczy sioła, topi ludzi,
Zalewa obszary.

Ileż razy i zagrody
Niesie na swym grzbiecie, —
A gdy trafi na przeszkody,
Wszystko miażdży, gniecie.

— Czemuż mimo narzekania,
Przez tak długie wieki,
Tyle macie, przywiązania
Do kapryśnej rzeki — ?...

— Bo choć płacze nań zagroda
J nie jedna chatka,

Zawszeć to jest swoja woda
I rzek swoich matka.

— Choć rwie wały, znosi kopy,
Choć pełna zawodu,
Zawszeć ona myje stopy
Rodzinnego grodu.

Karol Kucz.

WESELE SONKI.

(Powieść z prawdziwego zdarzenia)

napisała

ROMANIA KAMIEŃSKA.

(Dokończenie).

VI.

Szumno i huczno, gdzie brzmi wesele,
Para gorąca w okół się ściele,
Dymią czupryny i ziemia dymi,
Tętni powietrze szały dzikiemi.
Bębenek grzmoci, rypią skrzypice,
Hasają swachy — cne mołodyce - -

Swat z zasuniętym na biodro pasem,
Ciężkim pod ławą trapiony wczasem,
Zerwał się raptem i: hu, ha! hu, ha!
W kole tanecznic zwił się jak duha,
I coś bełkoce, podryga nogą,
Spiekłemi wargi dmąc minę srogą,
A tanecznice w śmiech jak szalone,
Pchają się wzajem w tę, ową stronę,
Nogą, to łokciem, to całem ciałem,
Grzmocą w obecnych, co stoją wałem.
Hałas się zwiększa, motłoch się kupi,
Ci jak piwonie, tamci jak trupi,
Zioną przekleństwa, smucą, chichocą,
Od krzyku chrypną — czoła się pocą —
I ot już wszystko jak w młyńskiem kole,
Wrzawa uniosła śmiechy i bóle.

U wrót oddawna czeka już młody...
Matka nalewa w kieliszek wody,
W drugą dłoń bierze z gorzałką flaszę: —
Trzebaż zięciowi dać sporą czaszę,
Choć go, niechętna przyjmie wpierw wodą.
Skrzypce umilkły — z pod wrót się wiodą
Swachy młodego uczęstowane,
Śpiewając pieśni z chwilą związane.
Z koła najstarsza wystąpi swacha,
Świeca w jej dłoni płomieniem macha,
I matka takąż w dłoń świece bierze,
Odmyka w chacie drzwi na oścież,
Stają ze swachą na progu obie,
Jedna u drugiej na nodzę sobie,
I gdy się świeca schodzi ze świecą,
Pieśnią radości krzyk nowy niecą.
Już prześpiewały — złączone dłonie,
Świece się zrosły — już jedna płonie.

Już płonie jedna, już w chacie swacha,
Czemuż w te progi kniaź wejść się stracha?
Na wronym koniu spotniała grzywa,
Bojarek młodszy już znużon ziewa,
A on jak stanął, tak wryty stoi —
Miasto zaprosin gwar u podwoi...

I szumno, huczno, gdzie brzmi wesele,
Tylko nie widać młodej na czele.

Tęskno i głucho gdzie drzemie wzgórze —
W pobliżu tentnią weselne burze,
Tu uroczyste nocy milczenie...
Na tle opoki, dwa ludzkie cienie,
Z harmonią ciemna w kształt posągowy
Zaklęły siebie!.. Ni ludzkiej mowy,
Ni łez, ni jęków tutaj nie słychać...
Ci ludzie zdają się nie oddychać...
Czekają — czego? — sami nie wiedzą...
Zamarłem okiem, w wielkiem gwiazd morzu,
Kierunku drogi straszliwej śledzą,
Co się na życia zwiwszy rozdrożu
Zapadła w ciemnie... Noc hymn swój cichy
Szle w pierś zefiru, w kwiatów kielichy;
Tu liść się rodzi, tu barwę bierze,
Ziemia ucztuje, mówiąc swe: wierzę —
Tylko dwóm sercom ustąpić trzeba,
Z przybytku brzmiącej szczęściem natury,
I w grobu toniach szukać dróg nieba!...
Dziwnaż, że widok wzgórza ponury?

Łoskot — drżą krzewy szumiące w sadzie,
Popłoch swadziebnej wtórzy gromadzie,
W ręku każdego płonie łuczyna,
Tentni pod stopą sadu drużyna.
— Ho! Sonko! do nas! a gdzie ty? gdzie ty?
Już czas o czepcu myśléć kobiety! —
We wszystkie strony biegną, wołają,
Wężyki świateł śród drzew migocą,
I brysie skomląc lecą za zgrają,
Niepewne komu chodzi tu o co.
Czasem przystaną, podniosą głowę,
Niby coś wietrzą: wszystko domowe —
I znowu na dół spuszczą ogona,
Lub skacząc padną komu w ramiona.

„Biada, Witoldzie! po trzykroć biada!
Już i tę chwilę śmierć nam odkrada!...
Czemuż ból tentnień nie zgłuszy serca? —
Niechbym nie czuła, kto mój morderca”...
Młodzieniec wstrząsł się, odwrócił głowę,
Lica mu wzdęły pręgi pąsowe,
Wysunął oko i słuch natężył,
Jak wąż pierś wzdętą przed się wyprężył,
Cisnął przekląstwem, jak żmija jadem,
W dzikie bełkoty łamiące sadem.

„Sonko, radź jeszcze!... jam myśl już zgubił...
Próżnobym teraz siłą się chlubił!
Z przewódcy twego nędzne pacholę,
Nie mam już, światła nad twoją wolę”.

„Sądzisz, że na tem zburzonem niebie,
Jaka się dla nas gwiazda odgrzebie?
O, po co myśli dobywać z głębi!
Tchnienie ich zapał chwili oziębi!
Żeby ukrócić bóle konania,
Potrzeba czynu, nie rozmyślania.”

„Więc uroczyste serc naszych śluby,
Mamy uświęcić dniem wspólnej zguby?
I ty, opoko mojego świata,
Masz złożyć głowę pod topór kata,
Co w samobójstwa płaszcz otulony,
Zamknie ci nawet kościelne dzwony?
Wyniosłem ciebię, ty polne ziółko,
Żyjące drużnie z roboczą pszczółką,
Z pod skrzydeł cichej sioła zagrody,
By na królewskie wprowadzić gody;
A dziś za świetne szczęścia ołtarze,
Stosy męczeństwa mam ci nieść w darze!
Czemuż straszliwy piorun zniszczenia
Wprzód nie zgruchotał tego ramienia,
Nim dłoń twą pracy pól poślubioną
Ująłem w swoją — obrzemienioną
Pętem szlachectwa — drżącą w zamieci
Rodowych ustaw!... I toż są dzieci
Jednego ojca? — bracia śród braci?
Któż krew ofiarną co skropi ziemię.
Wyrzutem krwawym duszy zapłaci.
Jeśli nie ród mój, nie moję plemię?!...
O pycho ludzka! — niezgód szatanie! —
Kiedyż się ród nasz z tobą rozstanie? —
Kiedy Bożego gniewu płomienie
Wypalą czarne twoje nasienie,
I gdzie rozdziału rosły kąkole,
Zgromadzą winnych w pokutnem kole!”

— Ho! Sonko! ho, ho! a gdzieżby ona
U stu kaduków! chyba skradziona?
Zagrzmiały głosy, hucząc przy skale —
A to wesele nielada wcale! —

„Ja ją tu zaraz wezmę z pod ziemi! —
Wrzasnął swat, tocząc óczmi krwawemi,
Kto wie? — ot może jak raz tam ona,
Po dziennych trudach snem przywalona?...
Już trzeba jakiejś dobrać nam rady” —
I upadł, niecąc śmiech śród gromady.

„Dalibóg że tam cosić się porusza!
Krzyknął Wasyli do Mateusza —
Huknij na Saka, niech da łuczynę! —
Może wilczysko napadł dziewczynę?...

„A niech tu kaduk wszystko zabierze!
Tu tylko grzesznym mówić pacierze —
Huczał Sak, idąc ku skały stronie,
Gdzie spłoszył rody sowie i wronie. —
Coś niby szmerzy, niby się rusza,
Jak owa w jajku zaklęta dusza,
A głos jak kamień w głąb rzeki pada” —
I przystanęła trwożnie gromada.

„Witoldzie, śpieszmy! bije godzina”...

„To nieprzytomnych nawoływanie —
W obronie twojej siły mi stanie”...

„To moi krewni... moja rodzina,..
Cóż z takiej walki? O mój ty luby!
Zbawienia dla nas daremne próby!...
Wierz mi — zabawką tylko odwłoka...
Prędzej się w potok zmieni opoka,
Co nas ukrywa, niż w nasze losy
Łaskawszem okiem wejrzą niebiosy!...
Przed nami stoi olbrzym — morderca,
Bo własnych braci zawzięte serca
Rodów i wieków długich przesądy;
Jękiem serc dwojga na takie prądy
Zarzucać tamy — wysiłek próżny!
Szczęśliwszy może będzie tu dłużny —
Może w późniejszej komu godzinie,
W całej swej pełni kwiat się rozwinie,
Który tak marnie zschł w naszej dłoni!...
Zgon nasz zasiłek da jego woni...
Nam tu znać dano pod jego rolę,
Tylko męczeństwem uprawić pole —
Toż prędzej, prędzej, ognia pod stosy,
Bo tu o posły śpieszno w niebiosy!”

Dwa cienie kroczą głuchą doliną,
W księżyca fałdach tuląc swe lica;
W oczach dziewczęcia drga błyskawica,
Młodzieniec oko opuścił w ziemię,
Walcząc z ostatnią życia godziną,
Nie wie jak dźwignąć to życia brzemię,
Idą — a przepaść w skalistej cieśni,
Grobowe swoje wygrywa pieśni.

„Ach! więc daremne próby zbawienia!
Z nikąd pomocy z nikąd natchnienia!
Chwila spoczynku jakąby może
Przyniosła radę... O wielki Boże!
Rzucić tak marnie ziemi tej brzegi,
Z dziedziny życia umknąć jak zbiegi! —
Nie dojrzéć sercem w własnej ojczyznie,
Nie zasiąść mianem na ojcowiznie —
Sonko!”

„Ach! przestań! bo tracę siły,
A już mi świętą droga mogiły...
Tam! tam! — mój luby, — w objęciu Boga
Ziści się życia naszego droga...
Tam kwitnie szczęście tu przeczuwane,
Tam więc się łączy, co tu zerwane...
Łzy nasze, trwogi, krwawe męczarnie,
Przecie i tutaj nie przejdą marnie;
Choć śmierć bezwładnie zawrze powieki,
I tu żyć będziem przez lata wieki...
Łzę naszą schwyci promyczek słońca,
Albo na listku błyszcząca rosa,
W listku — promieniu stanie obrońca,
Tego nie sięgnie ta śmierci kosa,
Co nas bezkarnie w dni wiośnie zmiata
Przeżyjem w łonie rosy i kwiata —
Wspomnieniu ludzkiem”...

„Tyś moją kością, Sonko, mem ciałem,
Wie ziemia, niebo, jak cię kochałem!
Pośpiech, by tobie dać żony miano,
Zabił urocze dni twoich rano...
Masz słuszność: działać, o już nie pora!
Ciało bezwładne i dusza chora,
Ta dusza biedna — twoje wyznanie...
Żyć ono będzie — czy zmartwychwstanie,
Gdy ciało ziemne robactwo stoczy —
Niechaj to wieści duch twój proroczy!
Owiń mię jego skrzydły białemi,
I wiedź do twojej obietnic ziemi,
Darząc wieczystym uściskiem żony...
Sonko, o kończmy!... jam twój... zbawiony”

Już od przepaści krok jeden dzieli,
W okół blask świateł, wirują głosy,
Z oczu dziewczęcia myśl jakaś strzeli...
Czy pragnie śmierci powstrzymać ciosy?
Czy tę okropną chwilę ostatnią,
Ostatnią jeszcze święcić pieszczotą?
Księżyc całuje jej włosów złoto,
W ich blasku barwę odczuwszy bratnią,
Ona splot długi pochwyci w dłonie,
Wstrzymuje kroki, wskazuje tonie.

„Patrz jak w tej groźnej, czarnej głębinie
Wiruje szybko fala wzburzona! —
Ona rozłączy nasze ramiona...
A jabym chciała w skonu godzinie
Ostatnie tchnienie przelać w twe usta,
I tak pozostać, aż świat przeminie...
Niechaj prąd jeden trup wspólny huśta,
Niech prochy nasze tak połączone
Przetrwają wieczność!... Myśli szalone —
Nieprawdaż luby? Zwątpienie pali..
Ach, tak mnie trwoży przepaść tej fali!...

I z gorejącem okiem dziewczyna,
Wieniec swój ślubny nagle odpina,
Ciska na trawę, a włos swój długi
Rozbiwszy szybko w dwie miękkie strugi,
Owija niemi młodzieńca szyję —
Niech teraz fala gromy swe bije!...

„A co tam w wodę nagle runęło? —
Zawołał Toka, stojąc z drugimi —
Licho przyniosło i licho wzięło...
I wojuj tutaj z duchy nocnymi!...
Niechaj mi więcej nie służą nogi,
Jeśli pył jeszcze zruszę z tej drogi...
Tu nie dla śmiechu harcują czarty,
To nie zwyczajne, to groźne żarty!
Widzicie — nie ma nigdzie dziewczyny”...

Wieść padła gromem w koło drużyny,
Tylko głos jakiś wśród nocnej głuszy,
Wdzierał się jękiem do ludzkiej duszy —
Głos siedmiu mieczów, głos matki pewno,
Bo porze przestwór tak dziko — rzewno!

Wiatr nagle z hukiem roztoczył skrzydło,
Dreszczem grobowym zadrgały drzewa,
Czar nocy zakrzepł w nocy straszydło,
Powisły kwiaty, ptaszę nie śpiewa.
A jakaś smutna, zbłąkana chmura,
Płowe na księżyc zwiesiła pióra:
Gdzież był młodzieniec? gdzie była dziewa?*)

KORESPONDENCYA ZE LWOWA.

w Grudniu.

Oszczędności i książki.—Nowe wydawnictwa.—Z *Teki Grottgera.*—Odsłonięcie pomnika wzniesionego temu artyście.—Zmiana dyrekcyi Teatru.—Nowości Teatralne.—Opera.—Wieczorki muzykalne.—Klub Łyżwiarzy. Odczyty.

Wiadomo wszystkim, że jeżeli w polskim domu zaprowadza się oszczędności z jakiegokolwiek powodu, zaczyna się nie od zbytkowych rzeczy, balów, strojów, ale od książek. Jak tylko więc w którejbądź prowincyi bieda przyciśnie, poznać natychmiast można stan zły finansów po nieurodzaju na książki: tak i u nas. Oddawna już nie pamiętamy tak złych czasów na wydawnictwa. Tu i owdzie dziełko jakieś wyskoczy jak rakieta w nocy puszczona, zabłyśnie i znów ciemno; a śród tych ciemności słychać ogólne jęki na biedę. Istotną wdzięczność winniśmy więc wydawcom, którzy w takiej chwili ośmielają się wystąpić z wydawnictwami, przewidując, iż ich zbyt będzie długi i mozolny, szczególniej w obec długiego karnawału i niezliczonej ilości zapowiedzianych już balów: postanowiliśmy bowiem hulać zapamiętale, niepomni o jutro, o które niech się troskają nasi wierzyciele.

Wielką przysługę oddali publiczności pp. Gubrynowicz i Schmidt powtórnem wydaniem dzieła D-ra Antoniego Małeckiego: *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła.* Nieostatni ten poeta w trójcy najpotężniejszych naszych wieszczów jest dotąd przedmiotem szczególnych uprzedzeń, niechęci i zarzutów, lub też ślepej admiracyi. Spokojne, dalekie od ostateczności, ocenienie Juliusza Słowackiego, wniknięcie w dzieje tego ducha o tak olbrzymiej fantazyi, wyjaśnienie dlaczego w tym a nie innym szedł kierunku, było nieodbitą potrzebą tem więcej że nie jeden utwór był istotnie ciemnym dla naszej publiczności.

Drugie to już wydanie nie potrzebuję więc mówić o wartości dzieła; śmiem tylko wyrazić mój osobisty żal, iż w tak wszechstronnie opracowanej i wyczerpującej rozprawie trzy-tomowej do końca życia Słowackiego brzmi nieustannie we wszystkich prawie utworach tego poety, ton jednego kierunku, któremu nadewszystko i przedewszystkiem Juliusz hołdował. Ten brak czyni dzieło niepełnem, niedokładnem, o mało żebyśmy nie powiedzieli, chybionem, pomimo iż ze wszech innych miar jest wzorem wytrawności krytycznej, przedmiotowości i głębokości sądu. W *Bibliotece powieści i podróży* wydawanej przez tęż samą firmę, wyszła powieść Kraszewskiego *pan z panów* a zapowiedziano nowe wydanie cennych *Pamiętników* Wybickiego.

Otóż i wszystko co na niwie literackiej zebrać się udało, chyba że zaliczym do wydawnictw drugą seryę fotografii szkiców z *Teki Grottgera.* Prześliczne te pomysły nieodżałowanego artysty, ukończone lub zaledwie rzucone na papier odznaczają się jak wszystkie poprzednie niewysłowionem uczuciem i wdziękiem. Byłoby zbytecznem zachęcać publiczność do nabywania. Lwowscy przyjaciele Grotgera dokonali w d. 23 grudnia dawno zamierzonego dzieła. W dniu tym przy ogromnym udziale publiczności odbyło się w kościele OO. Dominikanów żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Artura, poczem liczne duchowieństwo przystąpiło do poświęcenia pomnika, którego odkrycie miało nastąpić. Piękną mowę, określającą znaczenie Grotgera w sztuce polskiej, wypowiedział ks. Jan Siemiński, a chór Tow. Muzycznego, którym kierował p. Mikuli, odśpiewał podczas nabożeństwa stosowne utwory.

Pomnik jest wzniesiony w niszy jednej z kaplic pobocznych kościoła, naprzeciwko ołtarza. W głębi na postumencie marmurowym stoi piramida, u której szczytu umieszczono w wieńcu laurowym, medaljon Grottgera; przed piramidą postać niewieścia z gwiazdą u czoła wieńczy jak matka swego syna, pochyloną figurę artysty.

U stóp tej grupy znajduje się popielnica, na niej zaś widać reprodukcyę jednego z obrazów Grottgera, przedstawiającego matronę otoczoną synami. Piękny ten pomnik wykonany i projektowany przez Gadomskiego nosi napis: *Arturowi Grottgerowi, nieodżałowanemu artyście, rodacy pomnik ten wystawili.*

Piękny upominek złożyli na kolendę najznakomitsi malarze nasi Hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, mecenasowi sztuk i gorącemu protektorowi przemysłu domowego, zasłużonemu jak nikt w Galicyi. Jest to piękne album składające się z rysunków i szkiców ołówkiem, akwarelą i t. d. prawie wszystkich polskich malarzy. Pojmiecie łatwo z jakiem wzruszeniem przyjmował Hr. Włodzimierz Dzieduszycki taki dar wspaniały i zarazem taki serdeczny dowód uznania.

Wielki wypadek zaszedł u nas w tych dniach i wywoła zapewne wielką wojnę... w dziennikach

---

*) Zdarzenie tu opowiedziane miało miejsce przed 30 laty, w jednej z miejscowości Wołyńskich. Szczegóły tu pomienione opowiadał mi jeden naoczny świadek.

i w publiczności. Teatr zostający pod dyrekcyą p. Jana Dobrzańskiego, redaktora *Gazety Narodowej*, od Wielkiej nocy przejdzie pod zarząd p. Miłaszewskiego i Hr. Józefa Drohojowskiego. Jakkolwiek przewidziany, fakt ten oburzył całe miasto z małym wyjątkiem. Hr. Józef Drohojowski niczem dotąd nie dał poznać swego uzdolnienia do kierowania sceną, p. zaś Miłaszewskiemu w skutek żądań Sejmu i Wydziału krajowego, który mu cofnął subwancye krajową za sponiewieranie teatru, lat temu kilka odebrano zarząd. Wszystkie sprawozdania składane Sejmowi przez specyalną komissyę są przychylne bardzo p. Dobrzańskiemu: repertuar zalecał się poważnym wyborem, kierunkiem i bogactwem, wystawa była staranna nawet nad siły Lwowa, przeciwnie zaś p. Miłaszewski przyczynił się do zepsucia smaku publiczności dawaniem nieprzyzwoitych sztuk z pomijaniem polskich poważnych utworów; powołana ankieta umyślnie do zdecydowania między dwoma konkurentami stanowczo odrzuciła p. Miłaszewskiego, dwaj członkowie Wydziału krajowego oświadczyli się równie stanowczo za p. J. Dobrzańskim, a jednak ks. Jabłonowski, kurator Skarbkowskiej fundacyi wbrew wszystkiemu, powierzył teatr raz już zmuszonego do ustąpienia p. Miłaszewskiemu. A dla czego? spytacie. Liczne są przyczyny a tak mało szlachetnej natury, że wolę tego przedmiotu nie dotykać i pytanie zostawię bez odpowiedzi. Co do przedstawień scenicznych, muszę nadmienić, że w ostatnich dopiero czasach publiczność zaczęła sobie przypominać, iż istnieje teatr polski we Lwowie, choć dawano rzeczy albo mające istotną wartość lub też starano się o nowości. I tak mieliśmy z nowości: *Sąsiedzi* Bałuckiego, *p. Kasper z Bożej Woli*, Kordyana Ujejskiego syna Kornela, *Czartowska Ława* Gawalewicza, *Dramat jednej nocy*, Aurelego Urbańskiego, i kilka tłomaczeń z pomiędzy których podniesiemy *Korjolana* Szekspira, którego do sceny zastosował beneficyant p. Ładnowski nasz znakomity artysta, syn znanego także aktora i autora. O *Sąsiadach* Bałuckiego jako drukowanych w piśmie Warszawskiem nic nie powiemy. P. *Kasper z Bożej Woli* jest pierwszą próba młodego autora, choć wierszowanie znamionuje niezwykłą wprawę. Obrazek to z nowego życia dobrze obserwowanego, humoru dość, sceniczność wystarczająca, słowem jak na próbę bardzo wiele. Sądzimy że pan Kordyan Ujejski może zajść daleko, byle chciał iść. P. Aureli Urbański, który dotąd igrał sobie tylko i dawał małe farsy lub tłomaczył, po pierwszej próbie poważnej *Pod kolumną Zygmunta*, wystąpił z jednoaktowym dramatem, który głęboko wzruszyć widza może. Figury, kilkoma rysami zaznaczone zaledwie, mają niezmiernie wiele charakterystyki i życia a walka uczuć wre z siłą godną dzieł wielkich rozmiarów. Sytuacye głęboko obmyślane odznaczają się niepospolitą grozą tragiczną. Autor okazał tym jednoaktowym dramacikiem wielki talent i piśmiennictwo może się wiele spodziewać.

Do Opery naszej zaangażowano pannę Morzkowską, córkę znanej autorki—głos niewielki ale miły i dobrze wyrobiony, a przytem pierwsze kroki najtrudniejsze przebyte. Z przeszłych lat mamy p. Köhlera, początkującego p. Almę, p. Koncewicza. Dopełniono składu włoskiemi śpiewakami, mianowicie bardzo dobrym tenorem p. Ravertą, basem p. Alziną, panną Capozzi i znaną z przeszłego roku p. Donati, publiczność jednak niedość podtrzymuję operę pochłaniającą dochody komedyi i dramatu; subwencya zaś kilkunastu tysiączna, jaką daje sejm, jest za mała. Tak więc operę możemy mieć tylko przez kilka zimowych miesięcy; chóry i orkiestrę utrzymują przez lato operetki w szczególnych będące łaskach u naszej publiczności.

Całe szeregi koncertów następują po sobie w dość krótkich odstępach czasu: mamy wieczorki muzykalne Galic. Tow. Muzycznego pod kierownictwem Dyrektora Mikulego, potem wieczorki urządzane przez pana Marka, następnie obok tych regularnie dawanych koncertów idą produkcye przeróżne na cele dobroczynne, nakoniec koncerty orkiestr wojskowych. Na brak więc muzyki nie możemy się skarżyć, a trzeba dodać, że po największej części wyborni wykonawcy zapewniają wszystkim tym koncertom istotne i zasłużone powodzenie.

Zato Klub Łyżwiarzy, dość liczny we Lwowie, jest w rozpaczy i dałby chętnie wotum nieufności ministrowi od pogody, gdyby ten był konstytucyjnie odpowiedzialny... Może ta okoliczność przyczynia się do zwiększenia liczby słuchaczek na odczytach, które w ostatnich latach nie cieszyły się faworem naszej płci nadobnej. O odczytach tych, które zaliczyłem do rozrywek lwowskich, bo nasze panie tak się na nie zapatrują, na przyszły raz coś powiem.

Szkoła trzyklasowa męzka

Z NAUKĄ RZEMIOSŁ.

w Warszawie.

Na zasadzie decyzyi J. W. Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, otwartą została 1879 roku pod prezydencyą J. W. Rz. R. St. Hornberga, Inspektora Szkół miasta Warszawy, Szkoła Trzyklasowa Prywatna Męzka z nauką Rzemiosł.

Szkoła pomieszczoną jest w domu Nr. 3, przy ulicy Jasnej i utrzymywaną przez b. Nauczyciela Gimnazyum i Nadzorcę Szkoły Cztero-klasowej Rzemieślniczo-Niedzielnej, R. St. Józefa Łapińskiego, z funduszów, powstających z opłat od uczniów, a także z ofiar jednorazowych i terminowych składanych przez grono osób, pragnących podnieść w kraju naukę rzemiosł, oraz stopień umysłowego wykształcenia rzemieślników, a przedewszystkiem uchronić młodzież, uczącą się rzemiosł, od zepsucia, jakiemu często podlega przy dotychczasowym zwyczaju terminowania.

Głównym celem tej szkoły jest skrócić uczniom termin nauki obranego przez nich rzemiosła, przez przyspieszenie tejże nauki i nieodrywanie uczniów od niej do posług i w ogóle do robót żadnego z obranem rzemiosłem związku nie mających, oraz wykształcić ich moralnie i naukowo na rzemieślników istotnie pożytecznych. Ztąd zajęcia w szkole są dwojakiego rodzaju: umysłowe i techniczne.

W ścisłem zastosowaniu się do Najwyżej zatwierdzonej Ustawy dla Szkół Miejskich, do których Szkola Nauk i Rzemiosł pod względem zakresu naukowego należy, Szkoła obejmuje trzy klasy, każdą z kursem dwuletnim.

W pierwszych dwóch klasach uczniowie, odznaczający się zdolnościami i pilnością, stosownie do uznania Zarządu Szkoły, mogą być po upływie roku promowani do następnej klasy, w trzeciej zaś klasie, każdy uczeń, dla jej ukończenia, pozostawać powinien przez lat trzy.

Nauki i rzemiosła wykładane w Szkole są następujące:

1) Nauka Religii we wszystkich klasach
2) Język Rosyjski „ „
3) „ Polski „ „
4) „ Niemiecki „ „
5) Arytmetyka „ „
6) Geometrya w klas. II i III.
7) Geografia Rosyi i Polski w klas. II.
8) Historya Rosyi i Polski w klas. III.
9) Historya Naturalna w klas. II.
10) Fizyka w klas. III.
11) Chemia w klas. III.
12) Rysunki techniczne w klas. II i III.
13) Kaligrafia w klas. I i II.

Co do rzemiosł, tylko warsztaty: szewcki, krawiecki, stolarski, tokarski i ślusarski, były w ruch wprowadzone i w pierwszym z nich 8, w drugim 6, w trzecim 8, a w dwóch ostatnich 35 uczniów pracowało.

Każdy uczeń wstępujący do szkoły, obowiązany był zdać egzamen do odpowiedniej klasy, złożyć metrykę urodzenia i świadectwo szczepionej ospy. Kandydat do klasy pierwszej powinien mieć 10 lat skończonych, umieć czytać i pisać po rosyjsku, po polsku, a nadto cztery działania arytmetyczne.

Opłata roczna za naukę przedmiotów i rzemiosł lżejszych była Rs. 40, a za naukę przedmiotów i rzemiosł twardych Rs. 50, którą wnoszono stosownie do zamożności, w miesięcznych, kwartalnych lub półrocznych ratach.

W roku ubiegłym dwóch uczniów zupełnie uwolniono od opłaty szkolnej.

Wykład nauk odbywał się w godzinach rannych od 8-ej do 12-ej lub 1-ej, nauka rzemiosł od 3-ej do 7-ej po południu.

W wykładzie nauk głównem staraniem nauczycieli było, uczyć wyłącznie na lekcyach i jak najmniej zadawać do nauczenia się w domu, a to z uwagi, że młodzież ta zajęta umysłowo i mechanicznie po godzin 8 lub 9 dziennie, potrzebuje odpowiedniego czasu na wypoczynek dla nabrania nowych sił do pracy w dniu następnym.

W warsztatach szewckich i krawieckich po upływie 4-ch miesięcy, uczniowie tak już postąpili, że mogli zajmować się robotami na zamówienia, z których dochód, po potrąceniu 25 proc. dla majstrów obrócony był na pokrycie wydatków w tychże warsztatach. W warsztatach stolarskich, tokarskich i ślusarskich uczniowie wyrabiali różne narzędzia, sprzęty i meble na użytek samej szkoły.

Wykładem nauk i rzemiosł w upłynionym roku szkolnym 1879—80 zajmowali się:

1) Ksiądz Marmo do wykładu nauki Religii i moralności;
2) Strachowicz Paweł „ języka rosyjskiego;
3) Lewandowski Józef „ „ polskiego i geografii;
4) Kreczmar August „ niemieckiego
5) Łapiński Józef „ arytmetyki i geometryi;
6) Ejsmont Antoni „ nauk przyrodzonych:
7) Polkowski Józef „ rysunków i kaligrafii;
8) Gocławski Wiktor, Mechanik, do nauki ślusarstwa i tokarstwa;
9) Olszański Flawian, czeladnik ślusarski, do nauki ślusarstwa;
10) Kukawski Ludwik, majster stolarski, do nauki stolarstwa;
11) Dutkiewicz Wincenty, majster krawiecki, do nauki krawiectwa;
12) Szeligowski Antoni, majster szewcki, do nauki szewctwa;

W roku 1879 było uczniów 57 w zeszłym 118, a w obecnym z pewnością przewidywać można, że będzie ich znacznie więcej.

NOWE WYDAWNICTWA.

Sielanki szlacheckie przez autora kłopotów starego komendanta. Są to obrazy z życia naszych gospodarzy wiejskich, zebrane wiernie i z prawdą niezmierną przedstawione. Wprowadzone postacie zdają się żyć, ruszać i mówić nie wedle pomysłu Autora, ale tak jakby czytelnik patrzył i podsłuchiwał co robią i mówią. Treści niepodobna przedstawić, intrygi bowiem nie ma żadnej ani tajemniczości, obrazowanie życia społecznego jednej z warstw jego stanowi osnowę całej pracy. Rzecz przedstawiona komicznie z lekkim pokostem satyrycznym, czyta się łatwo, bawi i rozśmiesza, choć czasami spotkać można cokolwiek przesady, prawdy jednak nikt nie zaprzeczy. Dla przyszłych badaczy obecnych czasów prace p. Wilczyńskiego czyli autora Kłopotów starego komendanta, nieocenionej będą wartości. Z nich zawartą przeszłość szlacheckiego żywota, ujrzą jakby żywą z całym jego gwarem, serdecznością, poczciwością, niedbałością a i dążnościami wielce postępowemi.

Wydawnictwa pani E. Orzeszkowej i S-ki postępują dalej według zrobionych zapowiedzi. Pierwszy poszyt zawierał komedyą p. Edwarda Lubowskiego p. t. Sąd honorowy przedstawioną w naszym teatrze,—drugi obejmował studyum p. t. Patryotyzm i kosmopolityzm, Elizy Orzeszkowej. Pan Lubowski znany już jako powieściarz i komedyopisarz, zawsze w pracach swych podnosi jakąś myśl społeczną, i walkę jej z ciemnotą i złą wolą, okraszoną szczerym humorem. Trzeci zeszyt wydawnictwa p. Orzeszkowej, obejmuje scenę jej pióra, z życia dwóch braci p. t. *Pokociło się i dam nogę*. Jest to jedna prawie scena, odegrana pomiędzy dwoma szwagrami; Witoldem Gawdyłło obywatelem z pod Wilna a Zdzisławem Prędkowskim koroniarzem. Idzie im o pierwszeństwo stron rodzinnych o ich większe zasługi w przeszłości. Sprzeczka rozpoczyna się od wzajemnego wyśmiewania prowincyonalizmów. Witold sięgając po kłębek nici, który potoczył się pod fotel, powiada: koci się, koci się! Jezus, Panna Marya, ot i znowu *pokociło się*.

Na to wchodzi Zdzisław i zapytuje z podziwem: co to się u was stało? Koci się. okociło się pod fotelem... w salonie... Adio! *daję nogę*...

Ztąd sprzeczka: Witold wyszydzając wyrażenie się szwagra, wygłasza nowe prowincyonalizmy, Zdzisław występując znów ze swemi, płaci pięknem za nadobne, zarzuca podobnym Witoldowi przechwałki, ten oskarża Zdzisława jako przedstawiciela stron swoich o blagę, oba wynoszą zasługi wzajemne, w poezyi, dziennikarstwie, rolnictwie, przemyśle, wymieniają nazwiska pisarzy, lekarzy, artystów dramatycznych, malarzy, wychwalają kobiety, ganią je, prawie poniewierają swoim przyznając pierwszeństwo, dość ze sprzeczka coraz zapalczywiej prowadzona dochodzi do zupełnego poróżnienia, tak że Zdzisław dom szwagra zamierza opuścić.

Na to wchodzi żona Witolda Jadwiga, i trzymając książkę w ręku głośno z pięknym polskim akcentem i głębokiem przejęciem się czyta:

......ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił.

Ostatnie słowa robią na powaśnionych wielkie wrażenie: dalsze wyjątki uspokajają ich, rozrzewniają i podawszy sobie ręce, godzą się w serdecznym uścisku.

Obrazkowi temu scenicznemu nie brak humoru, ale nie ma w nim prawdy. Tacy jak Zdzisław, którzy w mowie używają wyrażeń: *dam nogę, nie wtrynisz we mnie, sztuknąć*, nie przedstają miejscowej inteligencyi: prowincyonalizmy jednak Witolda więcej są upowszechnione nawet między ukształconemi. Co do zarzutu wymawiania samego *h* i w połączeniu *ch*, to go zupełnie nie rozumiemy. Ale prowincyonalizmy rzecz to małej wagi; główniejszą tu rzeczą treść samej sprzeczki, jako nowość pierwszy raz podniesiona w naszem piśmiennictwie.

Podobnej zawiści prowincyonalnej nie znając, wiemy żeśmy latoroślami z jednego pnia wyrosłemi, dlaczegóż Autorka gwałtem chce wmówić w czytelników że tak nie jest, i powaśnić żyjących dotąd w braterskiej zgodzie jako złączonych jednem uczuciem i pamiątkami? Kiedyś, przed dwoma blizko wiekami, współzawodnictwo podobne z wielką szkodą ogółu, praktykowało się, ale dziś jest marą z przeszłości, która do życia nie powinna być powoływaną. Dlatego zdaje nam się, że tu własne przekonania, własne niechęci p. Orzeszkowa podsunęła pod ogólną sprawę.

O drobnej tej pracy moglibyśmy wiele powiedzieć, taki w niej wieje duch jakiejś dziwnej oschłości, zimnoty, że mimowoli nasuwa się pytanie, czem właściwie jest p. Orzeszkowa pod względem narodowości?

W czwartym tomie mieści się szkic historyczny p. t. Włościanie u nas i gdzieindziej przez Walerego Przyborowskiego. Jest to praca bardzo starannie wygotowana, o której później złożymy obszerniejsze sprawozdanie. Autor przystępując do niej powiada że zdawało mu się, iż kreślić dzieje chłopa polskiego to znaczy wywłóczyć na jasność dzienną najciemniejsze strony życia narodowego, a jednak jak całkiem odmienny obraz rysuje nam prawda historyczna od tego, który nam uważać kazano za prawdziwy. Może nigdy i nigdzie, powiada dalej, nie usiłowano sfałszować tak szkaradnie historyi jak to zrobiono z historyą chłopa polskiego. Sądząc po tem co pisano gdzieindziej o kmieciu polskim, zdawaćby się mogło, że szlachcic polski to dziki Tatarzyn lub gburowaty graf niemiecki, pastwiący się nad swym niewolnikiem jedynie gwoli pastwienia się. Te świetne, rycerskie, częstokroć idealne postacie, które przyzwyczailiśmy się uważać w dziejach naszych, jako wzory cnót obywatelskich, wyszły na jakąś bezmyślną, pół krwawą, pół zbójecką czeredę, puszczającą w hulaszczym szale trud chłopka. Tak to wygląda przez pryzmat politycznych namiętności u niepowołanych historyków.

To przyznanie się Autora do zmiany pojęcia będącego wiarą niejednego z nowoczesnych naszych na nieszczęście, pracowników, pięknie przemawia za bezstronnością młodego a zdolnego pisarza. Oby znalazł jak najwięcej naśladowców!

Daleki też od zarozumiałości, p. Przyborowski oświadcza, że nie ma wcale pretensyi, by przedmiot tak obszerny, wielki i tak mało jeszcze u nas znany, opracował wyczerpująco. Mimo tego, zadanie swoje spełnił z wielkim pożytkiem ogółu i praca ta stanowi główną ozdobę wydawnictwa pani Orzeszkowej. Niech nam jednak wolno będzie, zrobić choć pobieżną uwagę, o sądzie zbyt pobieżnym, wygłoszonym przez Autora o Historyi włościan p. W. A. Maciejowskiego. Prawda że w niej brak jasnego zobrazowania głównego przedmiotu w chaotycznym nieładzie przedstawionego, wartości jej jednak jako materyału odmówić nie można. Wczytawszy się w nią, uporządkowawszy, znajdzie się prawie wszystko co tylko wielka erudycya dostarczyć może. Dla ogółu jest to praca niewystarczająca, dla badaczy bardzo cenna.

W piątym zeszycie mieszczą się Fragmenty dramatyczne z przeszłości przez Maryą Konopnickę napisane. Jest ich trzy, a wszystkie poświęcone walce światła z przesądem, ze złą wolą, nużą jednostajnością. Autorce nie brak talentu, często i natchnienia prawdziwie poetycznego, ale brak jej podniosłości ducha, którym wznosząc się po nad stronnictwami, spoglądałaby na całą ludzkość w walce ze złem, z którego ucisku bądź co bądź, ciągle się wydobywa. W pierwszym uczona Hypatya poganka, ginie w rozruchu ulicznym wywołanym jakoby rozmyślnie przez Cyryla biskupa. Być może, że śmierć jej była wynikiem rozszalałego fanatyzmu, ale żeby Cyryl powodowany zawiścią do młodej, pięknej i uczonej dziewicy, miał go podburzyć do czynu tak haniebnego, zdaje się być bardzo wątpliwem. Chrześciaństwo nie tą drogą dochodziło do zwycięztwa swej idei, było mordowane, ale się morderstwem nigdy nie posługiwało. Gdyby wreszcie i czyn tak podły rzeczywiście był spełniony z namowy Cyryla, to nie idea byłaby temu winna tylko człowiek, który pod jej osłoną ukrył własną namiętność.

Drugi fragment wymierzony jest przeciw Inkwizycyi, w osobie Vesaliusa słynnego medyka i pierwszego pono badacza składu ciała ludzkiego na zmarłych osobach. W trzecim Galileusz staje przed sądem i zaprzecza prawdziwości zrobionym przez siebie wielkim naukowym odkryciom. W obu męczynnicy ci przemawiają z godnością w imię miłości nauki i ożywiających ich idei, przeciwnicy zaś przedstawieni są jak ostateczni łotrzy nic z podnioślejszą myślą, nie mający wspólnego. Dla poety piękne tu pole do zobrazowania walki idei wprost sobie przeciwnych. Starcie dwóch takich olbrzymów godne pióra nawet geniuszu, p. Konopnicka nie zwróciła na to uwagi i tem zapomnieniem się wartość pracy swej niezmiernie osłabiła. A szkoda wielka szkoda!

Zbiór powieści dla dzieci i młodzieży, wybranych przez p. Waleryą Marrené. W pierwszej z nich wydanej na widok publiczny pod tytułem: *Kazio*, Autorka przeprowadza chłopczyka od lat siedmiu, jak ze zmarnowionego dobrobytem w przeszłości, w sierocie pod opieką brata i siostry wyrabia się na młodzieńca w szkołach, przymiotami swemi zdobywającego szacunek. Zadanie bardzo piękne, przeprowadzone starannie i umiejętnie z uwzględnieniem wieku bohatyra, ożywione dramatycznym rozwojem akcyi, w czytaniu obudza zajęcie szczególniej gdy tego dopełniać będzie starsza osoba dla młodszych swych wychowańców. Szkoda tylko, że na opiekunów Kazia, Autorka obrała starszego brata i siostrę a pominęła rodziców. Wypadki podobnej opieki są nadzwyczaj rzadkie, gdy rodziców każde ma dziecko i jest przedmiotem ich troski i zabiegu. Wreszcie taka opieka wygląda troszkę nienaturalnie: dla studenta utrzymanie samego siebie jest prawie niepodobne, co może zarabiać panienka szyciem, to wiemy dobrze, jakże więc mogą i siebie i najmłodszego brata własną

utrzymywać pracą? Prześladowania także Kazia w szkole są cokolwiek przesadzone: refleksye jego aby nie oskarżyć niedobrego kolegę za doświadczone od niego dokuczania, przedstawiają się cokolwiek za mądrze na tak młodego chłopczynę. Wreszcie nie ma prawdziwego powodu oszczędzania złości towarzysza: skarga na niego zupełnie byłaby usprawiedliwioną szczególniej gdy tajemnica naraża Kazia na gniew dyrektora i wymierzoną przez niego karę. Są to zarzuty drobne nie osłabiające wartości pracy pani Marrené, ale radzibyśmy aby podobnych nieprawdopodobieństw w przyszłości unikała.

W opowiadaniach powieściowych, szczególniej tendencyjnych,prawda i naturalność na chwilę nie powinny uchodzić baczności pisarza. Najmniejsze przeciw nim wykroczenie przez czytelnika natychmiast dostrzeżone zostanie a na tem cierpi wartość całej pracy i wpływ jej zbawienny.

Dziatwa czytająca jeszcze więcej wymagająca: niezadowolona nie sformułuje zdania ale książkę porzuci. Starszy zajmie się wytwornością formy, dziecko tylko główną treścią i sposobem jej przeprowadzenia. Prawda zatem na wskroś powinna przenikać każdy utwór powieściowy, a choć ideał jest w nim niezbędny, nie powinien dochodzić do przesady i być takim koniecznie, aby nikt nie mógł zaprzeczyć możności jego bytu. Trudno to cokolwiek ale talent prawdziwy pokonać wszystko może, byle chciał i nie lekceważył podjętej pracy. Pani Marrené posiada go, niechże w dalszych książeczkach uwagę tę ma na pamięci. Zawsze wydawnictwo jej witamy z wielka życzliwością, czas bowiem wielki, aby literatura nasza dziecinna weszła na właściwą drogę i otrząsnąwszy się z tłomaczeń nędznych ramot zagranicznych uprawianą, była nie przez pismaków namaszczanych na wielkość reklamami gazeciarskiemi, tylko przez pisarzy prawdziwie utalentowanych.

KILKA SŁÓW
O
ZAKŁADACH FRÖBLOWSKICH.

Pół wieku upłynęło od urządzenia przez wytrawnego pedagoga niemieckiego, Fryd. Fröbla, tak zwanych ogródków dziecinnych, które zwolna przybrawszy szerszy zakres, stanowią dziś dla dzieci zdrową podstawę do przyszłego obszaru nauki szkolnej przez nabycie gruntownych wiadomości elementarnych wedle wymagań współczesnej pedagogiki. Wiadomo z jakiemi trudnościami walczą nauczyciele i rodzice, pragnący w sposób racyonalny i systematyczny rozwinąć umysł dziecka, rozbudzić władzę ducha i zmysłów, kształcić smak a zarazem i wpajać zasady moralne w powierzonych swej opiece dzieciach. Kto nigdy nie zajmował się wychowaniem i nauczaniem dzieci, zaledwie pojęcie mieć może o tych trudnościach, a jednakże tylko przy dobrych początkach, przy rozumnym prawidłowym rozwoju władz umysłowych, nabierać może dziecko dokładnego pojęcia o przedmiotach, podpadających pod jego zmysły, które w innym razie wywierają na niem tylko wrażenia i uczucia przelotne że tak powiem, powierzchowne, bez szerszego z jego strony poglądu i sądu. Zwyczajne szkoły elementarne, mianowicie u nas, nie odpowiadają temu zadaniu. Jakkolwiek systematycznie i stopniowo starają się dojść do celu, błądzą jednakże głównie w tem, że nie umieją a poczęści i nie chcą w zastosowaniu swych metod zniżyć się do poziomu wieku dziecinnego, wtajemniczyć się w świat dziecięcy i postarać się o to, ażeby uprzyjemnić dziecku naukę, zagrzewać je i zachęcać do pracy, tak aby się od niej nie odstręczało a przeciwnie samochcąc i chciwie się chwyciło, czego przy suchym choćby najsystematyczniej prowadzonym wykładzie nie osiągniemy, Brakowi temu zapobiedz już było staraniem Pestalozzego; największego jednak rozgłosu nabrała na zasadach swego poprzednika oparta metoda Fröbla, która znalazła zastosowanie w każdym kraju ucywilizowanym i najświetniejsze wydała owoce. U nas wszakże w Warszawie poszczycić się możemy tylko, jednym zakładem podobnego rodzaju którym jest: „Zakład gimnastyczny zabaw i użytecznych zajęć dla dzieci przy placu Ś-go Aleksandra ulica Wiejska N. 16, kiedy właśnie potrzebowalibyśmy ich w jak największej liczbie, bacząc zwłaszcza na to, że tylko gruntowne początki elementarne uzdolnią dzieci nasze do odnoszenia korzyści z późniejszych szkół czy to prywatnych czy rządowych, lub też zagranicznych w których zmuszone są wyrażać myśli swe w obcym dla nich języku. Dla tego zakłady Fröblowskie u nas głównie i naukę języków uwzględnić powinny. Każdemu wiadomo z jaką łatwością dziecko uczy się bawiąc obcych języków, na których wyuczenie młodzież a nawet dorośli nie poznawszy ich w wieku dziecięcym, trawi lata prawie bezowocnie, już to dla braku czasu już to dla niepraktycznej metody używanej w szkołach a ograniczającej się na suchej gramatyce i na tłomaczeniach, nigdy nie doprowadzających do gładkiego rzekłbym mechanicznego wysławiania się obcym językiem zwłaszcza w mowie potocznej.

Zacna i ze wszech miar na uznanie wdzięczności zasługująca założycielka powyżej wzmiankowanego zakładu, pani Teresa z Pruszaków Mleczko, już od kilku lat z prawdziwem zamiłowaniem i nie szczędząc żadnych zabiegów tyle mozolnych, poświęca się tej gałęzi wychowania w nadziei, że publiczność w końcu przekonawszy się o praktyczności metody Fröblowskiej, żywiej się nią zainteresuje i domagać się będzie i w innych punktach miasta założenia tego rodzaju szkółek, z jakich dziś korzystać tylko mogą dzieci okolicę ulicy Wiejskiej zamieszkujące.

Ażeby przyjść w pomoc nauczycielkom, chcącym się obznajmić z odrębnym zupełnie od przyjętego w innych zakładach naukowych kierunkiem wychowawczym według tej metody, pani Mleczko zamyśla z początkiem tego roku, przyjmować na naukę zgłaszające się kandydatki a tem samem dla wielu nauczycielek otwiera się pole korzystne dla publiczności zaś pożądane, mianowicie dla klasy inteligentnej, nie mającej środków po temu, ażeby zastąpić brak podobnych szkółek guwernerami i guwernantkami.

Dla rodziców nie obznajmionych dostatecznie z metodą w mowie będącą, przytoczymy tu w ogólnych zarysach program zakładu wzmiankowanego. Celem ostatecznym, jak nam już wiadomo, jest rozwój ciała, zmysłów i umysłu, a droga wiodąca do tego celu, co do wyboru środków pedagogicznych, najzupełniej odpowiada wymaganiom dzisiejszego kierunku wychowania. Gimnastyka, zastosowana do wieku dziecięcogo, wolne ruchy, tańce, gry i zabawy, po godzinnem zajęciu umysłu są nieocenioną zaletą, którą inne zakłady dziecinne, wymagające po dzieciach natężenia uwagi przez kilka z rzędu godzin, poszczycić się nie mogą. Nietylko dla wyrabiania siły i zręczności ale i dla wypoczynku umysłu, przerwy takie są koniecznym warunkiem zdrowia naszych dzieci. Do zajęć pożytecznych zaś liczymy roboty ręczne, jako to: wykałanie, wyszywanie, wycinanie papieru, robotę kwiatów, plecenie koszyków, introligatorstwo, budowanie i układanie rozmaitych przedmiotów i kształtów artystycznych za pomocą sześcianów, kwadratów, trójkątów, cegiełek, patyczków, modelowanie z gliny, rystnki w kwadratkach wraz z kształtowaniem liter jako wstęp do nauki pisania. Przez układanie liter z patyczków i układanie wyrazów ruchomego alfabetu, wprowadza się dzieci stopniowo i bawiąco do nauki czytania. Śpiewki przy wszystkich prawie zabawach, oraz śpiew horalny z towarzyszeniem fortepianu, uczą je rozeznawania dźwięków i pojęcia taktu. Przytem zwrócona jest bezustannie uwaga na czystą i poprawną wymowę tak języka ojczystego jak i języków obcych. Co do języka francuzkiego i niemieckiego, do każdego z nich jest osobna nauczycielka, rodowita francuzka i rodowita niemka, obznajmione dokładnie z metodą Fröblowską. Konwersacya przy tablicach obrazkowych, nawet bez wytłomaczenia w języku polskim, ułatwia dzieciom zrozumienie przedmiotów, które przed sobą na obrazku widzą; nauka wreszcie wierszy i śpiewki w czterech językach ćwiczą zarazem ich pamięć. Z dziedziny nauk ściślejszych, poznawają dzieci elementarne zasady historyi naturalnej, powszechnej i świętej, religii, geografii, podział czasu, miar, wag i monet i objętości brył; z rachunków przechodzą cztery działania i ułamki z początku na patyczkach i sześcianach a później na cyfrach, sposobem tak przystępnym, że dzieci z widocznem zainteresowaniem się przedmiot ten traktują, który w szkołach innych zwykle uważają za plagę.

Niepodobna nam w tem miejscu wyliczyć szczegółów programu tak zajmującego i w treści swej obfitego, radzimy tylko rodzicom chcącym dzieciom swym ułatwić początkową naukę, postarać się o dziełka zagraniczne traktujące o metodzie Fröblowskiej, dopóki w naszym języku nie będziemy mieli choć przekładu jednego z nich.

W końcu zaznaczyć nam jeszcze wypada, że do zakładu tego przyjmują się dzieci od czwartego roku życia aż do lat dziesięciu i że stosownie do wieku i pojęcia ich utworzone są 3 oddziały. Dzieci zajęte od godziny 10-ej do 3-ej codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt. W młodszym oddziale płaci się miesięcznie 3 i pół rubla w starszych oddziałach 4 ruble; zimą zaś dopłaca się pół rubla miesięcznie za opał. Niejednemu opłata ta wydawać się może nieco wygórowaną; bacząc wszelako na korzyści jakie dzieci odnoszą z nabycia wszechstronnej wiedzy elementarnej, wreszcie mając na uwadze znaczne wydatki, jużto na lokal, jużto na materyały do zajęć naukowych, już też na pensye dla nauczycielek w tym kierunku wykształconych a których u nas tak wielki jest brak, pojmiemy że kierująca tym zakładem mimo to prawie żadnych zysków dla siebie osiągnąć nie może.

Z początku tenże sam zakład mieścił się na ulicy Królewskiej w dawniejszem tak zw. Tivoli, a później na Nowym Świecie w miejscu Foksal zwanem, gdzie w ogrodzie pod przewodnictwem wykwalifikowanych ogrodniczek mile i użytecznie dzieci zajmowały czas na wypoczynek przeznaczony, ucząc się pielęgnowania kwiatów i roślin własnego posiewu, a tem samem nabywając zamiłowania do botaniki. Ogródek w dzisiejszym miejscu niestety nie wystarcza na ten cel, jak w ogóle

lokal obecny stanowi może jedyną stronę ujemną zakładu. Wyszukanie stosowniejszej miejscowości przedstawia niemałe trudności, jednakże w roku bieżącym zmiana lokalu jest zamierzoną, co głównie zależéć będzie od liczby dzieci nowo zapisać się mających. My z naszej strony życzymy serdecznie „Szczęść Boże!” i mamy nadzieję, że znajdzie się dostateczna liczba osób, obeznać się chcących z teoryą i praktyką metody Fröblowskiej, do czego za pośrednictwem obecnie istniejącego zakładu nadarza się sposobność, i że tem samem niezadługo w każdej dzielnicy naszego miasta a później i w innych miastach większych naszego kraju, posiadać będziemy zakłady tego rodzaju.

L. L.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dnia 6 b. m. odbyła się w Krakowie inauguracya zawiązanego tamże *Koła literacko-artystycznego*. Obecnych było osób 60. Ks. kanonik Polkowski poświęcił lokal i przemówił serdecznemi słowami do obecnych, łącząc z błogosławieństwem kapłańskiem serdeczne życzenia aby koło rozwijało się pomyślnie. Gdy zebrani członkowie zasiedli do wieczerzy, przewodniczący stowarzyszenia wniósł toast za pomyślność koła, a wice-prezes znany poeta Ely (Asnyk) przedstawił wymownie zasługi obecnego na wieczorze wice-prezesa Akademii Umiejętności profesora Uniwersytetu jagielońskiego, p. Józefa Majera. Następnie, znany poeta humorystyczny, p. Bartels, odczytał następujący dowcipny wierszyk, który zabawił i rozweselił obecnych. Pozwalamy sobie go powtórzyć:

Mamy zatem literacko —
Artystyczne koło...
Postarajmyż się w niem gracko
Biedzie stawić czoło.
Lokal mamy: istne cacko,
Chociaż kasę gołą,
Zwyczajnie jak literacko —
Artystyczne koło.

Poczynając od ratunku
Bliźniego — mosanie,
Nie wiem czy mu z obrachunku
Dużo pozostanie.
Ale otrzem łzę Chorwacką
Galicyjską połą,
Tyle stać na literacko —
Artystyczne koło.

Zanim zaczniemy pracować,
Podobni mrowisku,
Możem dziś pobaraszkować
Na nowem śmietnisku.
Z naszą naturą sarmacką,
Nie odrazu pszczołą,
Stać się może literacko —
Artystyczne koło.

Strach tylko by w piękne rano;
(Aż pomyśléć zgroza!)
Z słusznością nie powiedziano:
„At! piąte u woza,
„Posmarowane partacko
„Erudycyi smołą,
„Skrzypi tylko literacko —
„Artystyczne koło.

Postanówmyż więc, panowie,
Na tem polu nowym,
Przedewszystkiem, tu w Krakowie
Sensem świecić zdrowym...
A tymczasem z miną chwacką
Krzyknijmy wesoło:
Niech nam żyje literacko —
Artystyczne koło!

Z kolei przemówił pan Bartoszewicz, syn zasłużonego naszego historyka, zaczynając od tych słów:

Choć pociąg jego mowy mknie po wązkiej relsie,
Choć to strach mówić wierszem po panu Bartelsie...

Poczem zwrócił zręcznie do zadań ciążących na przewodniczących kołu, i wniósł toast na cześć pana Juliusza Kossaka i Asnyka. Z przemówienia pana Bartoszewicza podobała się bardzo następująca zwrotka:

Nigdy Arab nie tęsknił tak do swojej Mekki,
Nigdy pijak tak nie drżał do wódki kieliszka,
Nigdy żadna Agata na pana Franciszka
Nie czekała tak długo zmrużając powieki —
Jako myśmy tęsknili, drżeli i czekali,
Na tę ucztę dzisiejszą w naszej *własnej* sali.

Wieczerza zakończyła się toastem staropolskim, wniesionym przez ks. kanonika Polkowskiego: „kochajmy się!”

Po wieczerzy nastąpiła biesiada duchowa, z charakterem muzykalno deklamacyjnym. Pan Singer, jeden z najcelniejszych skrzypków krakowskich, odegrał prześlicznie kawatinę Rappa, mazurka Wieniawskiego i kilka drobniejszych utworów; pan Niedzielski dyrektor szkoły muzycznej odśpiewał umiejętnie i z czuciem poloneza Moniuszki z „Verbum nobile” i kilka śpiewek. Ale najmilszą niespodziankę zrobił zgromadzeniu ks. kanonik Polkowski, wyborną deklamacyą całkiem nieznanego utworu humorystycznego Asnyka. p. n. „Pigmalion.”

Zabawa przeciągnęła się do północy, p. Bartels sypał jakby z rogu obfitości, nieporównane swoje piosneczki i wierszyki. Teraz życzyćby należało, aby redakcye czasopism warszawskich chciały po jednym egzemplarzu wydawnictw swoich, przesłać krakowskiemu „Kołu”. Wszakże jak to mówią, ręka rękę myje, a w tym razie byłaby to niezawodnie korzyść zobopólna.

+ Do „Wieku” donoszą z Poznania.

Hrabia Stanisław Tarnowski rozpoczął we środę szereg odczytów publicznych w Poznaniu, rozbiorem „Balladyny”. Sala bazarowa zatłoczoną była słuchaczami, złożonemi przeważnie z obywateli wiejskich, spragnionych żywego słowa polskiego i osobistości prelegenta. Objaśniając wybór przedmiotu, hr. Tarnowski tłomaczył na wstępie że polem akcyi fantastycznego utworu jest właśnie ta najstarsza polska dzielnica; następnie wyłożył genezę „Balladyny” którą wielki poeta zamierzał otworzyć cały cykl dramatów, i rozbierał pokrewieństwo, które według jednych, miało przypominać dramata greckie, według Małeckiego „Odprawę posłów” Kochanowskiego, zaś według Krasińskiego Szekspira. Prelegent podziela i uzasadnił ostatnie zdanie. Podnosząc wielkie piękności utworu i postaci, wykazuje, że całość nie ma warunków ani tragicznych, ani historycznych, ani alegorycznych.

„Prelegent zachwycał słuchaczów, pisze „Kuryer Poznański” przedmiotem i barwnością kolorów, kiedy wskrzeszał zmierzchłe postacie naszych protoplastów, malował polskie sioło i lud cichy a pracowity, kiedy doń wprowadzał głosicieli nowej Ewangelii.” Sprawozdania obu polskich poznańskich dzienników dowodzą, że prelekcye hr. Tarnowskiego, są ważnem wydarzeniem w spokojnem życiu poznańskiem.

+ Do „Korrespondenta Płockiego” donoszą z Mławskiego, że pomiędzy włościanami objawia się coraz żywsza chęć czytania, że należałoby tylko dopomagać im i wskazywać co czytać mają. Według słów korespondenta, opartych na własnych spostrzeżeniach, włościanie nasi słuchają z wielkiem zajęciem wiadomości nadchodzących z kraju, o klęskach lub rzeczach ogólnego interesu, nie przechodzący zakresu ich pojęć. Pewna wieśniaczka mająca synów umiejących czytać, słucha z zajęciem i potrafi doskonale opowiedziéć co jej czytają. Wielu wieśniaków w średnim już będących wieku, jedynie przy pomocy sąsiadów, nauczyli się czytać i pisać. Pewien 15 letni chłopiec, zna dość dobrze dzieje ojczyste, pamięta nawet niektóre daty, a nauczył się tego słuchając tylko. Włościanie chętnie także kupują książki; broszurki ks. Filochowskiego „O miejscach świętych” książeczki „Promyka” a mianowicie kalendarz jego „Gość” a z innych „O Gietrzwałdzie” bardzo są wśród nich rozpowszechnione.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Irenie T. Które powieści wymienionych autorów były już tłomaczone niepodobno nam wskazać. Trzebaby przejrzéć wszystkie czasopisma z lat dawniejszych i to w samych redakcyach, a tych jest bardzo wiele. Oprócz Jankowskiego ogrodnictwa nowego dzieła nie mamy jeszcze, ale tenże sam autor wydaje pismo peryodyczne przedmiotowi temu poświęcone, bardzo starannie redagowane. Z dawniejszych wydawnictw można polecić dzieło Strumiły p. t. Ogrody północne, bardzo obszerne i dobrze napisane. Za życzliwe słowa serdeczne składamy podziękowanie.

Pani Annie P. w Zasławiu. Kop. 50 pozostałe od prenumeraty, oddano biednej wdowie pani Kiedrzyńskiej, zasługującej pod każdym względem na pomoc i opiekę. Sama biedaczka słaba bez żadnych funduszów, matka dwojga małoletnich córeczek, kończy obecnie naukę kwiatów, przez czas której utrzymywaną była jedynie ofiarami dziatwy czytającej Przyjaciela.

Adres: HELENA DĄBROWSKA utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Января 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 4 r. 1881.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Żona nie mogła nie wiedzieć o tem, ale tak umiała zamknąć usta litościwym osobom, które, jak to mówią, pragnęły ją oświecić, iż nikt nie poważył się ich naśladować—za milczącem porozumieniem żyli najzupełniej rozłączeni. Feliks nie starał się bynajmniej o zmianę tego stosunku; miał wprawdzie apartament swój w hotelu Cours-la Reine, ale pokazywał się w nim bardzo rzadko, pod pozorem że przebywa w willi posiadanej pod Paryżem, i zajmuje się jej urządzeniem. O tej villi rozpowiadano różne skandaliczne historye — ale nikt nie śmiał mówić o nich w obec żony, a ona nie dawała niczem poznać po sobie czy doszły do jej wiadomości.

Oto jakie było jej położenie gdy tak niespodzianie spotkała się z towarzyszem lat dziecinnych. Nie widziała go od czasu zamążpójścia. Był wtedy przydzielony do jakiejś missyi w Egipcie; następnie zamianowano go na posadę dyplomatyczną we Florencyi, i wrócił stamtąd dopiero przed kilku dniami, w towarzystwie owych poznanych tam pań, z których młodszą żywo bardzo zdawał się zajęty. Wszystkie te wspomnienia i wrażenia przesuwały się w myśli pani d'Éricey, już to jako niewyraźne widziadła, już jak postacie głęboko wyryte w pamięci serca, tak słodkiej i tak okrutnej zarazem.

V.

Pani d'Éricey tylko co wróciła z przejażdżki w lasku Bulońskim; smutna, gorzka myśl mimowolnie zapanowała w jej umyśle. Jerzy dotąd nie poświęcił chwilki czasu aby ją odwiedzić! Więc oddalenie tak zupełnie zatarło w sercu jego przyjaźń łączącą ich od lat dziecinnych?... Wtem zaledwie weszła do salonu, służący oznajmił jej że panowie de Fleynac czekają na nią w ogrodzie.

— *Panowie* de Fleynac! zawołała i pobiegła na ich spotkanie

Zobaczywszy ją z końca alei, stary hrabia przyśpieszył kroku, aby się prędzej zbliżyć: w jednej chwili rzuciła się w jego objęcia, obsypując pieszczotami widocznie idącemi z duszy; jakże błogo dla smutnej, opuszczonej istoty, spotkać przyjaciela tak doświadczonego i kochanego!

— A mnie czy nic się nie dostanie? zapytał z uśmiechem Jerzy; należy mi się przecież coś choćby za to żem ojca sprowadził do Paryża...

Podała mu rękę z czarującym uśmiechem.

— Jak nie mniej za to, kończył, że powziąłem tak poważne postanowienie.

— Czy wiesz co mnie tu sprowadza, Stenio? rzekł hrabia.

— Nie wiem, ale może odgaduję...

— I nie mylisz się pani; mam nadzieję że i dla mojej Heleny będziesz tak dobrą i wierną przyjaciółką, jaką zawsze byłaś dla mnie.

— Możesz pan być tego pewnym, odrzekła mocno wzruszona; wszystko co kochasz i cenisz i dla mnie jest drogiem.

Rozmawiali tak czas jakiś, wtem Jerzy wstał aby się pożegnać. Stefania chciała zatrzymać go na obiad; co do hrabiego ten ilekroć przyjeżdżał do Paryża, stawał w przeznaczonym dla niego pokoju w pałacu d'Éricey, i obiadował zawsze ze Stefanią

— Nie mogę korzystać z zaproszenia, odrzekł Jerzy; dziś wieczorem mam być w cyrku z panią von Laybach i Heleną.

— A więc idź pan; ale ponieważ cyrk kończy się wcześnie, przywieź tu te panie na herbatę, tym sposobem poznamy się i zaprzyjaźniemy.

— Jesteś zawsze dla mnie dobrą, nieocenioną przyjaciółką, rzekł Jerzy całując ją w rękę. Do widzenia, kochany ojcze.

— Więc małżeństwo to jest już stanowczo ułożone? zapytała po wyjściu Jerzego. Czy przynajmniej, kochany przyjacielu, jesteś z niego zadowolniony?

— Nie mam powodu do niezadowolnienia; Jerzy zdaje się poznał dobrze i bardzo kocha pannę Laybach. Jest to osoba bardzo piękna i ujmująca, a wychodzenie jej każe wnosić że jest szczerze przywiązana do niego. Musi posiadać gruntowne przymioty, bo pochwala poważne zamiary mego syna, który postanowił opuścić służbę dyplomatyczną i część roku spędzać w Belourde; a dzięki naszym wpływom, niezadługo będzie mógł być wybranym do Izby deputowanych.

— A więc, kochany przyjacielu, spełnią się najgorętsze życzenia twoje; wszak zawsze pragnąłeś aby Jerzy osiadł w dobrach twoich, i zajął się losem tych których jesteś opatrznością. Bóg cię wysłuchał.

— Piękna narzeczona mego syna nie ma żadnego majątku—ale kochają się, dość mi na tem. Poznał te panie we Florencyi; zajmowały mieszkanie bardzo skromne, mimo to, dzięki stosunkom familijnym, przyjmowane były w najlepszem towarzystwie. Posiadamy dość znaczny majątek, nie zbraknie im na piękne utrzymanie.

Stenia nie zadawała więcej pytań; dziwiło ją tylko że hrabia nie z większem uniesieniem mówił o przyszłej swego syna, dzięki której tenże powraca na zawsze. Odprowadziła hrabiego do jego pokoju, poczem poszła ubrać się do obiadu.

Radość z ujrzenia ukochanego przyjaciela rozproszyła chmury zasępiające jej umysł, i gdy zeszła do sali jadalnej wyglądała jak róża. Lekka bladozielona suknia, uwydatniała kształtne ramiona, okrągłe, jakby utoczone ręce i ładną jej kibić; jasno szatyn z złotawym odblaskiem włosy, wiły się lekko nad czołem, tworząc jakby aureolę.

Patrząc na nią, hrabia uśmiechnął się z zadowolnieniem.

— Co za urocza istota! pomyślał sobie, prowadząc ją do stołu.

Po obiedzie przeszli do ogrodu, aby tam porozmawiać swobodnie. Hrabia zadał parę zapytań odnoszących się do jej stosunków domowych; z krótkich, oględnych odpowiedzi mógł poznać że nie zaszła w nich żadna korzystna zmiana, westchnął i zwrócił rozmowę na majętność des Roques. Od czasu śmierci ojca, Stefanja raz tylko i to na krótko mogła tam pojechać, gdyż pan d'Éricey za nic w świecie nie chciał bawić tak daleko od Paryża. Lubiła zawsze bardzo tę miejscowość w której dziecinne i młodociane spędziła lata, czuwała nad nią choć z daleka, i za pośrednictwem hrabiego, hojne potrzebującym rozdawała tam jałmużny.

Czas schodził im niepostrzeżenie na poufnej pogadance; Jerzy znalazł ich jeszcze siedzących pod kwitnącemi kasztanami. Spojrzał na Stefanię; oświetlona padającem na nią bladawem światłem księżyca, wydała mu się jakby uroczą nimfą leśną.

— Przykro mi, rzekł, że zniewalam was do opuszczenia tak rozkosznego ustronia, ale panie te czekają w salonie, przychodzę prosić pani Stefanii.

Pani d'Éricey poszła zaraz powitać przybyłe, które przyjęła jak najuprzejmiej. Pozostawiając hrabiemu zabawianie pani von Leybach, chciała rozpocząć z córką poufniejszą pogadankę; ale panna Helena była widocznie niezadowolniona i w bardzo złem usposobieniu. Zadziwiło to Stefanię, tem więcej że zły humor narzeczonej dotykał wyraźnie i Jerzego.

Chcąc więcej swobody zapewnić towarzystwu, pani d'Éricey zaproponowała przechadzkę po ogrodzie i nieco naprzód odeszła z panią Laybach; z rozmowy z nią mogła zmiarkować co było powodem złego humoru jej córki. Po powrocie z cyrku, miały się przebrać i pojechać na wieczór tańczący do jakiejś Amerykanki; Jerzy oznajmił zaproszenie pani d'Éricey i musiano zaniechać pierwotnego zamiaru.

— Helena przyrzekła księciu de Sauves prowadzić z nim kotyliona, jednak chętnie wyrzekła się przyjemności tańca, dla poznania i odwiedzenia pani, dodała pani von Laybach.

— Mamo, czas nam już wracać, odezwał się za niemi głos cierpki i ostry.

— Prawda, prawda, już późno, odrzekła potulnie matka; do widzenia, kochana pani.

— Chciej pani zatrzymać się, dopókąd powóz nie zajedzie, powiedziała Stefanja, i zwróciła się ku peronowi aby zadzwonić na służącego.

Idąc usłyszała jak panna Helena rzekła do matki surowym głosem:

— Niepotrzebnie było tak głośno mówić o księciu! Jerzy był blizko, jeżli dosłyszał znowu usłyszę kazanie.

Szmer kroków zagłuszył dalszą rozmowę; lokaj dał znać że powóz zajechał. Jerzy pojechał z paniami aby je odwieźć do domu; Stefania pozostała z hrabią. Nie zadając żadnych pytań, powiedziała tylko:

— Pani von Laybach zdaje się dobra i naturalna, a panna Helena jest bardzo piękna.

I przeszli do swych pokoi pod wpływem jednakowego wrażenia, którego wzajemnie wyznać sobie nie myśleli.

Nazajutrz rano pani d'Éricey pojechała do hotelu w którym mieszkały te panie; minąwszy schody, zadzwoniła do wskazanego numeru; nie otworzono. Lokaj zadzwonił powtórnie i nareszcie służąca otworzyła. Na zapytanie czy są panie, odpowiedziała z zakłopotaniem:

— Doprawdy nie wiem, pójdę zobaczę.

I zostawiwszy panią d'Éricey w ciemnym przedpokoju, poszła do sąsiedniego pokoju. Drzwi były tylko przymknięte, Stefania usłyszała wyraźnie jak zniecierpliwiona panna Laybach rzekła z gniewem:

— Ale powiedziałaś że nas nie ma.

— Nie, bo nie odebrałam takiego rozkazu.

— A! nieznośne nudy! idźże przynajmniej uprzedź matkę moją... powiedz mi książe co teraz robić?

— Pójdę sobie, odrzekł głos męzki, ale kiedyż się zobaczemy?

— *Chi lo sà?* (Kto to wie) nie jestem tu tak swobodną jak we Florencyi.

— Staraj się być pojutrze w ambasadzie szwedzkiej.

— Nie bywam tam...

— Ale uciekaj książę; ona czeka, a matka zdziwi się bardzo że jeszcze tu jesteś.

Rozmowa ta prowadzona była w języku niemieckim, który Stenia dobrze znała; czekała ciągle w ciemnym przedpokoju, w tem drzwi salonu otworzyły się nagle i ktoś tak prędko около niej przebiegł, że go rozpoznać nie mogła. Za chwilkę nadeszła pani Laybach mówiąc z nieudaną uprzejmością:

— Jakże mi przykro żeś pani czekała, ale ja nic nie wiedziałam o tem—byłam w swoim pokoju... Jakżeś pani dobra że przyszłaś nas odwiedzić!

I wprowadziła panią d'Éricey do saloniku zarzuconego różnemi przedmiotami toaletowemi, tak że zaledwie znalazło się pare wolnych krzeseł. Helena weszła dopiero po upływie kilku minut, w toalecie dość jaskrawej ale bardzo jej przypadającej do twarzy, i rzekła ze słodziutką minką:

— Jakżeś pani dobra że raczyłaś trudzić się do nas... Rzadko bardzo kiedy można nas zastać w domu... tyle mamy zajęcia... Ale, w którym magazynie ubiera się pani, u F. czy u C.

Stefania zupełnie innych spodziewała się zapytań; pewną była że narzeczona Jerzego będzie chciała dowiedzieć się czegoś o rodzinie swego przyszłego i okolicy w której zamieszkać miała—ale nic podobnego nie miało miejsca. Helena mówiła tylko o strojach i magazynach.

Chcąc przerwać tak błahą rozmowę, Stefania ujęła obie ręce młodej dziewczyny mówiąc:

— Dozwól abym jak zawsze dla Jerzego tak i dla ciebie była siostrą i przyjm najszczersze powinszowania moje. Jesteś bardzo, bardzo szczęśliwa; zaślubiasz najzacniejszego, najmilszego człowieka.. który pokochał cię tak szczerze...

Zatrzymała się, nie chcąc zdradzić ogarniającego ją wzruszenia.

— Dziękuję pani, dziękuję! odpowiedziała. Tak, tak, Jerzy jest bardzo dobry... Pani znasz jego pałac? czy jest bardzo okazały i wielki?... powiedziano mi że to miejscowość nader odległa i smutna... A czy tam dobrze się bawią? czy można miewać liczne towarzystwo?

— Towarzystwo można mieć bardzo dobrane miłe, ale życie tam inne niż w okolicach Paryża.

— Czy pani podobała się tamta okolica?

— Bardzo; nie mogę odżałować żem ją opuściła.

— Masz tobie! jak można żałować jakiejś tam wsi tak dalekiej, skoro zajmujesz pani tak świetne stanowisko w Paryżu i możesz używać wszelkich jego przyjemności i rozkoszy! odrzekła pogardliwie Helena... Ale, proszę powiedz mi pani czy będziesz na balu w ambasadzie szwedzkiej?

— Otrzymałam zaproszenie. ale nie wiem jeszcze czy będę.

— Ach! jakże pragnęłabym być na tym balu!

Stefania przypomniała sobie rozmowę usłyszaną z przedpokoju, i w tejże chwili Jerzy z ojcem weszli do pokoju.

Helena powitała ich nadzwyczaj uprzejmie; tym razem Jerzy nie mógł, jak wczoraj, skarżyć się na zły zumor narzeczonej. Nie skąpiła mu czułych spojrzeń i uśmiechów, nareszcie usiadła z nim na kozetce i zaczęła rozmawiać cicho, z wielkiem ożywieniem.

Pani d'Éricey wstała chcąc się pożegnać.

— Nie przerywaj pani ich rozmowy, rzekła do pani von Laybach wskazując na Jerzego i Helenę, a obracając się do pana de Fleynac, dodała: Do widzenia, dobry mój przyjacielu.

Dochodziła już do drzwi salonu, gdy Jerzy zatrzymał ją, posłuszny rozkazowi Heleny.

— Helena... rzekł, to jest ja pragnąłbym mieć dla niej zaproszenie na bal w ambasadzie szwedzkiej, czy mogłabyś je uzyskać, Stefanio?

— Jeżli koniecznie tego pragniesz, sprobuję.

Jerzy zawahał się z obawy czy nie nadużywa jej uprzejmości, ale Helena zawołała:

— Ach! ja tak bardzo, tak bardzo tego pragnę!... nieskończenie wdzięczną pani będę za to zaproszenie.

Widząc że nie wypada odmówić, pani d'Éricey odrzekła:

— Będę się starać spełnić życzenie pani.

— Co za szczęście! zawołała Helena.

— Psujesz ją pani zbytkiem dobroci, powiedziała pani von Leybach; Helena tak lubi taniec i zabawy—jej wiek ją tłomaczy.

Jerzy i ojciec jego serdecznie dziękowali Stefanii —opuściła ich mocno zaniepokojona.

„Jak może Helena pragnąć spotkania z kimkolwiek prócz Jerzego? myślała sobie, jak może tak wielką przywiązywać wagę do bytności na tym balu?...“

Westchnęła ciężko i zajęła się spełnieniem obietnicy, co było nie tak łatwem. Uzyskała jednak żądane zaproszenie—i gdy salony ambasady otworzyły się dla licznych zaproszonych gości, panna von Laybach od razu zwróciła na siebie uwagę i zaliczoną została do najświetniejszych gwiazd salonowych. Olśniła wszystkich swą uderzającą pięknością i jakby utoczoną figurą; niezrównany blask jej cery podnosiła jeszcze skromna ale bardzo umiejętnie dobrana toalota. Jerzy mógł cieszyć się jej tryumfem widząc że gdzie się tylko zwróciła, witał ją szmer uwielbienia.

— Czy przynajmniej on jest szczęśliwy? pytała siebie Stefania, siedząca blizko Heleny.

Jerzy stał nieco dalej, wsparty o kolumnę, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego; stał chmurny, ze ze zmarszczonemi brwiami.

— Przychodzę prosić panią do walca, rzekł ktoś stając przed Heleną, a Stefania poznała głos słyszany w saloniku pani von Laybach.

— Tak późno pan przychodzisz, odpowiedziała z goryczą Helena—bądź co bądź zatrzymałam dla pana jednego walca.

W tej chwili Jerzy prędko zbliżył się do narzeczonej, choć nie mógł słyszeć poprzedzającej rozmowy.

— Heleno, matka cię prosi, chce odjechać.

— Jak się ten walec skończy; jestem do niego zamówiona, odrzekła oschle, i oddaliła się wsparta na ramieniu swego tancerza.

Widząc wielkie niezadowolnienie Jerzego, Stefania rzekła do niego:

— Walec nie potrwa długo; siadaj pan przy mnie, pogadamy z sobą zanim Helena powróci.

Usiadł przy niej i rzekł nie ukrywając nieukontentowania.

— Nie miałbym nic przeciw temu żeby zabawiła dłużej, ale nie chcę aby tańczyła z księciem de Sauves.

— A! więc to jest książe de Sauves?

— Tak jest, poznały się z nim we Florencyi, gdzie długo bawił. Zawsze go u nich spotkać można... Uprzedziłem Helenę że nie życzę sobie utrzymania tej znajomości, powinna była odmówić.

Pani d'Éricey spojrzała na niego z zadziwieniem; to zwierzenie zupełnie nie zgadzało się z tem co jej mówiła Helena; jednakże chcąc złagodzić niezadowolnienie Jerzego, rzekła:

— Helena jeszcze taka młoda; nie zna tu nikogo a namiętnie lubi taniec.

— Masz słuszność, ale pragnąłbym aby i tu, jak we Florencyi; Helena mną i dla mnie tylko żyła; w tych szczęśliwych czasach nie dbała o zabawy; cichy domowy kącik był dla niej światem... Tak, masz słuszność, jestem zanadto wymagający.

— Gdzie jest Helena? zapytała zbliżając się pani von Laybach.

— Tańczy z księciem de Sauves.

— A! wiecznie z tym księciem. Jerzy jakże pragnęłabym powrócić do Florencyi, porzucić ten zgiełk i wrzawę.

— Ach! i ja najgoręcej tego pragnę! Lada dzień porywam was i uciekniemy z Paryża, nie zważając czy Helena pokończyła swoje zakupy i sprawunki: będzie mogła zająć się niemi później.

Panna Laybach powracała wolnym krokiem, ze spuszczonemi oczami. wsparta na ramieniu księcia de Sauves. Matka podeszła ku niej, wzięła ją za rękę, mówiąc głosem daleko surowszym niż zwykle:

— Heleno, jedziemy.

I chłodno ukłoniwszy się księciu, odprowadziła córkę do miejsca gdzie siedział Jerzy i pani d'Éricey. Nadspodziewanie Helena nie okazała niezadowolnienia, spojrzała czule na Jerzego i rzekła słodkim głosem.

— Przykro mi bardzo że czekałeś na mnie, ale nie mogłam nie dotrzymać dawnego zamówienia. Może przejdziemy się po tym kwiatowym salonie?

Jerzy z radością zgodził się na jej żądanie; podał rękę narzeczonej, a pani d'Éricey odjechała dręczona niepewnością i niepokojem.

„Czemże jest ta dziewczyna? pytała siebie powróciwszy do spokojnego swego ustronia. Ten książe jest to ten sam pan którego rozmowę z nią słyszałam... a wie przecież jak Jerzy nie życzy sobie tej znajomości... Jak wytłomaczyć tę gwałtowną chęć bytności na tym balu, gdzie była pewną że się z nim spotka... Biedny Jerzy! kto wie jaką przyszłość mu zgotuje.

VI.

Hrabia de Fleynac nie towarzyszył Stefanii na bal w ambasadzie szwedzkiej, natomiast udał się do klubu gdzie był bardzo lubiony i poważany, pomimo iż tak rzadko w nim się ukazywał. Pragnął zobaczyć się tam z dawnym przyjacielem, znającym doskonale towarzystwo paryzkie i jego stosunki.

Pan de Verain, młodszy nieco od hrabiego, był w swoim rodzaju specyalistą. Znał wszystkich, i dzięki niezwykłej pamięci mógł opowiedzieć najdokładniej zupełnie autentyczną historyę każdej osoby. Nie był złośliwym, mówił zawsze szczerą prawdę; w klubie lubiono go bardzo ale i obawiano się zarazem. Wszyscy lękali się narazić go sobie. Pan de Fleynac usiadł przy nim i z łatwością skierował rozmowę na pana d'Éricey.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Nie chcę i nie powinnam tam pójść, pomyślałam w pierwszej chwili, byłoby to przekroczeniem wszelkich przepisów przyzwoitości, którego nie może dopuścić się kobieta dbająca o swą reputacyę; pan Dawid nie ma prawa wymagać abym dla niego poświęcała moją dobrą sławę. Następnie zaczęły mi się nasuwać inne myśli: przypomniałam sobie że nie odpisałam ojcu na jego list ostatni, że byłam głucha na jego prośby, i nie pospieszyłam mu z pomocą; i że to może moja nieczułość doprowadziła go do tej ostateczności. Nie wyrzucał mi jednak mej oziębłości, pisał tylko że jeżeli chcę jeszcze widzieć go żywym, powinnam udać się jaknajspieszniej do niego. Nie pisał czy to choroba czy nędza zagraża jego życiu, lub też czy jest ścigany przez policyę, to tylko było widoczne że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Gdyby więc umarł lub został uwięzionym, czy ja, córka jego nie doznawałabym przez całe życie gorzkich wyrzutów sumienia, że głucha na jego prośby, nie pośpieszyłam pożegnać go na zawsze. Zresztą, wszak matka moja kochała go niegdyś; może w tej chwili patrzy na mnie i wyrzuca mi moją nieczułość. Ta myśl dodała mi odwagi przestałam się wahać i postanowiłam zastosować się do życzenia mego ojca. A kuzyn Ulryk? wszakże przyrzekłam sobie że nie będę miała żadnej styczności z panem Dawid, bez wiedzy mego narzeczonego, a zresztą jakże mogłabym pojechać do Rockborough tak aby on się o tem nie dowiedział? Znalazłam wreszcie i na to sposób, zerwałam się też prędko z krzesła i pobiegłam do babki.

— Babuniu, zawołałam, czy nie mogłabym pojechać do Rockborough?

— Do Rockborough! zawołała ze zdziwieniem lady Halsted. Czemuż, moje dziecko, nie pomyślałaś o tem pół godziny temu? Kuzynka twoja pojechała tam właśnie większym powozem.

— A! nie wiedziałam że się tam wybiera.

— Pan Moore odjeżdża mniejszym zaraz po *lunchu*, aby się nie spóźnił na pociąg wychodzący o trzeciej godzinie.

— Czy nie mogłabym pojechać z nim? Potrzebuję koniecznie widzieć się z kuzynem Ulrykiem.

— Nie mam nic przeciwko temu moje dziecko. Ernest będzie mógł odwieźć cię do twego kuzyna, a wrócisz z Maryanną. Zadzwoń moje dziecko, i wydaj stosowny rozkaz.

Spełniłam jej polecenie, już trochę tem uspokojona że znalazłam sposób pogodzenia moich obowiązków względem ojca i narzeczonego.

Zobaczę się najprzód z kuzynem Ulrykiem, i nie zdradzając tajemnicy ojca, powiem mu że muszę koniecznie udać się do niższej części miasta ale że może mi zaufać, że nie uczynię nic takiego co mogłoby przynieść ujmę jemu lub też mnie samej. Czułam że mogę odwołać się do jego szlachetności, że mi nie weźmie tego za złe iż nie chcę zdradzać cudzej tajemnicy, i że gdyby nawet pozory świadczyły przeciwko mnie, nie zwątpi o mej uczciwości i będzie przekonanym że nie zdradzę go nigdy. Zresztą postanowiłam także oświadczyć ojcu, bez względu na to w jakim go znajdę stanie, że nie mogę dłużej zachować jego tajemnicy, i że będę zmuszoną postępować nadal tak, jakbym go wcale nie znała jeżeli mi nie pozwoli wyznać wszystkiego narzeczonemu, którego nie mogę i nie chcę oszukiwać.

Jakkolwiek nie chciałam cofnąć się przed spełnieniem tego co uważałam za obowiązek, byłam ciągle tak niespokojna, drżąca i wzruszona, że to aż zwracało uwagę lady Halsted i ciotki Marry; pomimo to wsiadłam bez wahania do powozu, i pojechałam do Rockborough, w towarzystwie pana Moore.

XIV.

Miss Ford może wiele o tem powiedzieć.

Miss Ford wyjechała z Trampton tak wzburzona i rozdrażniona, że nie mogła się uspokoić przez całą drogę. Sądziła że oszukiwano niegodnie jej brata, i uważała sobie za obowiązek uwiadomić go o tem natychmiast, i poprzeć swoje oskarżenie niezbitemi dowodami. Siedziała więc w powozie tak głęboko zamyślona, że z zadziwieniem spostrzegła się nagle przed drzwiami Wessex-house. Wbiegła tak szybko do domu jakby jej pilno było wypowiedzieć złe wiadomości z któremi przybywała; ale chwalebna jej gorliwość na nic się nie zdała, gdyż powiedziano jej że doktór Ford nie wrócił jeszcze do siebie. Nie zniechęciło ją to wszakże bo mogła przecie zaczekać na brata, i właśnie w tym celu weszła do sali jadalnej.

Jakiegoż przykrego doznała zadziwienia, spostrzegłszy panujący tam nieład; dywany i obrazy powynoszone, meble pozsuwane do środka, zdawały się oczekiwać aby je przeniesiono do nowego mieszkania.

— Gdzie pan teraz jada? zapytała Whelera który tam wszedł za nią.

— Pan doktór rzadko teraz bywa na obiedzie w domu, a w takim razie nakrywamy do obiadu w tym pokoju gdzie podawano śniadanie.

— Czy Whichote przewietrza salon i utrzymuje porządnie meble?

— Salon już zupełnie pusty, wszystkie meble są w nowym domu, gdzie Whichote przepędza większą część dnia. Zdaje mi się że i teraz tam poszła.

— Jakto! wszystko przeniesiono, nawet i fortepian?

— Tak pani, równie jak meble z pokoi sypialnych, prócz tylko pokoju pana.

Miss Maryanna westchnęła; gniewało ją że tak zabierają wszystko ze starego mieszkania, że bratu tak pilno wszystko zmienić, i nie pozostawić nawet śladu z tego co było dawniej, a to jedynie dla tego że rozkochał się w tej dziewusze która go oszukuje. Odwróciła się prędko z obawy aby Wheler nie domyślił się jaką jej to sprawia przykrość; a potem zapytała znowu:

— Czy nie wiesz o której godzinie pan powróci.

— Nie wiem, proszę pani, pan doktór nie wspominał o tem ani słowa; ale zwykle wstępuje do do mu koło pierwszej.

— W takim razie będę miała czas obejrzeć wszystko w nowem mieszkaniu, a gdyby pan przyjechał w czasie mej nieobecności, powiedz że zaraz tu wrócę.

Kończąc te słowa wyszła, i udała się do okazałego domu, który doktór urządzał na przyjęcie młodziutkiej swej żony. Robotnicy odświeżali jeszcze dom na zewnątrz, a kiedy weszła do sieni, dochodził ją ze wszystkich stron odgłos młotków i hebli. Whichcote wybiegła do niej uśmiechnięta, a sądząc że pani będzie równie jak ona zachwyconą temi zmianami, zapytała jej czy nie chciałaby zobaczyć pokojów już ukończonych.

— Zapewnie pani nie widziała nigdy w życiu nic piękniejszego nad salon; a pokoje sypialne to już zupełnie jak w zaczarowanym pałacu jakiej wróżki, odezwała się z uniesieniem.

Miss Ford poszła więc z kwaśną miną za swą służącą na pierwsze piętro, i przeszła kilka pokoi w których wszystkie meble, obicia i ozdoby były bardzo kosztowne, a prócz tego odznaczały się prawdziwie wykwintnym i szlachetnym gustem. Miss Ford zadawała sobie w myśli pytanie, czy brat jej nie dostał czasem pomieszania zmysłów, bo inaczej nie urządzałby z takim przepychem domu dla tej przewrotnej dziewuchy która go zdradza tak niegodnie. Gdziekolwiek zwróciła oczy, widziała rzeczy kosztowne i w najlepszym guście; najdroższe obicia, prześliczne firanki, portiery z aksamitu lub drogich materyi, marmury, drzewo artystycznie rzeźbione, wielkie weneckie zwierciadła i wiele innych równie cennych rzeczy.

Miss Ford patrzyła na to wszystko z najżywszem oburzeniem, a potem nagle zbiegła ze schodów jak strzała, i wyskoczyła z domu jak bomba, wprowadzając w prawdziwe zdumienie służącą, która zapytała jej właśnie czy nie zechce zobaczyć oranżeryi stykającej się z buduarem; to ostatnie szaleństwo było ową kroplą wody przepełniającą naczynie.

Miss Ford czuła się znieważoną; zazdrość nie dozwalała jej patrzeć na to spokojnie; nie gniewało ją to bynajmniej że będzie mieszkać w domu urządzonym tak okazale, bo miała upodobanie w życiu wystawnem, jak zresztą większa część śmiertelników, ale serce jej napełniało się goryczą kiedy pomyślała że to wszystko nie zostało kupionem dla niej, ale dla tej dziewczyny której nie kochała i nie mogła pokochać. Tyle lat spędziła obok brata, zarządzała wzorowo jego domem, troszczyła się o jego wygody, a jednak nie pomyślał nigdy aby w pokoju sypialnym tak dobrej siostry dać obicie z blado-błękitnej materyi, i poustawiać w nim meble z drzewa różanego. Nigdy także nie przyszło mu na myśl że byłoby jej bardzo przyjemnie gdyby ze swego saloniku mogła wejść do oranżeryi.

Żal, gniew, zazdrość miotały jej sercem kiedy wróciła do dawnego mieszkania, była jednak więcej usposobiona do płaczu niżeli do wybuchów złości, i byłaby się zapewnie rozpłakała, gdyby nie znalazła nowego powodu do gniewu. Wchodząc do gabinetu brata, zobaczyła na jego biórku w szklance herbacianą różę, którą Dora nosiła przy staniku a następnie dała narzeczonemu.

Ta okoliczność tak drobna i tak naturalna, rozdrażniła do najwyższego stopnia miss Maryannę, podniosła jej niechęć do narzeczonej brata, przywiodła jej na pamięć wszystko o co posądzała Dorę, dla tego też, kiedy w pół godziny później doktór Ford wszedł do swego gabinetu; nie wahała się oskarżyć przed nim jego ukochaną bez względu na to że tym sposobem może zniweczyć jego szczęście.

— A! to ty Maryanno, zawołał wesoło. Cóż cię sprowadza do Rockborough?

— Nader przykry obowiązek, Ulryku, odpowiedziała uroczystym tonem.

Twarz Ulryka zasępiła się nagle; wiedział jak siostra jest przeciwną jego ożenieniu, i domyślał się że ten: *nader przykry obowiązek* miał coś wspólne-

go z Teodorą, ale w tej chwili nie był usposobionym do słuchania żalów czy oskarżeń siostry; miał i tak aż nadto przykrości z powodu choroby panującej w mieście, gdyż liczba chorych tak się powiększyła że nie mógł spocząć na chwilę. Wprawdzie osobiście czuł się nad wszelki wyraz szczęśliwym, i nie raz trudno mu było uwierzyć że to dziewcze tak młode, piękne i niewinne, wybrało go dobrowolnie, i tak chętnie oddało mu serce i rękę, ale po za obrębem jego osobistej pomyślności, ileż to przykrych wrażeń odbierało mu spokój i swobodę umysłu. Zaraźliwa gorączka grasowała w Rockborough, doktorzy nie mogli spocząć nietylko w dzień ale i w nocy, a doktora Ford wzywano i spotykano wszędzie gdzie tylko choroba zabierała najwięcej ofiar, i gdzie objawiała się najsilniej, nie pozostawiając prawie nadziei wyzdrowienia; on poświęcał się więcej niż wszyscy zresztą doktorzy, a teraz nawet zamyślał odłożyć dzień ślubu aż do chwili w której gorączka przestanie grasować. Byle wiedział że Dora była zdrową i wesołą, gotów był zupełnie zapomnieć o sobie, choć przykro mu było że nie może odwiedzać jej tak często, z powodu obawy przeniesienia zarazy. Czuł więc że wiadomość o jakiemś nowem nieporozumieniu między jego siostrą i narzeczoną może go pozbawić spokojności umysłu tak mu obecnie potrzebnej, dla tego też odpowiedział z żywością:

— W takim razie muszę cię prosić, Maryanno, abyś odłożyła to na później, gdyż jestem tak zajęty że będę musiał pożegnać cię wkrótce.

— Jeżeli tylko możesz zatrzymać się parę minut, będę miała dość czasu uwiadomić cię o wszystkiem, odpowiedziała śmiało. Ona cię oszukuje, Ulryku' byłabym złą siostrą gdybym cię nie przestrzegła.

— Co chcesz przez to powiedzieć? zapytał z żywością.

— Chcę powiedzieć to co powiedziałam. Wyobrażasz sobie że Teodora nie ukrywa nic przed tobą, że jest szczerą i otwartą, gdy ona przeciwnie postępuje z tobą niegodnie i zdradliwie. Długo nie chciałam temu wierzyć, bo zdawało mi się to niepodobnem po tylu dowodach twej dla niej dobroci, i wmawiałam w siebie że się mylę; ale dziś rano miałam dowody jej nieszczerości, i to dowody niezbite, z których nie może się usprawiedliwić.

Sądziła że brat przerwie jej oskarżenie jakimś wykrzyknikiem oznaczającym zdumienie lub niedowierzanie, ale widząc że milczy i słucha cierpliwie, mówiła dalej:

— Znasz Ernesta Moore, kuzyna lorda Otona.

— Tak, ale zastanów się dobrze nad tem co chcesz powiedzieć, Maryanno; przestrzegam cię, bądź ostrożna.

— Gdybym nie postępowała ostrożnie, odpowiedziała z żywością, byłabym cię dawno ostrzegła Ulryku; wszakże milczałam tak długo, ale po tem co dziś widziałam nawet anioł nie potrafiłby zachować milczenia.

— Cóż więc widziałaś?

— Widziałam list pana Moore do Teodory. Ale muszę opowiedzieć ci wszystko po kolei. Nie przesadzę mówiąc że przez cały czas swego pobytu w Trampton, starał się być zawsze obok Teodory, i że ona szukała kwapliwie sposobności do poufnej z nim rozmowy. Spotykałam ich sam na sam w ogrodzie i w salonie; pewnego dnia nawet, gdy byliśmy w cieplarni, wsunął jej w rękę list, który ona upuściła a ja podniosłam.

— Rzucasz przeciwko niej ciężkie oskarżenie, Maryanno, ale czy jesteś pewną że zdołasz je poprzeć niezbitemi dowodami?

— Bezwątpienia, skoro ten list przechodził przez moje ręce.

— Skąd wiesz że to był list od pana Moore?

— Był podpisany tąż samą ręką co ten który odebrała dziś rano z Londynu.

— Ale jakież są na to dowody, że to kuzyn lorda Otona pisał do niej z Londynu?

— Najlepszym tego dowodem było jej wzruszenie i pomięszanie kiedy ten list zobaczyła, jak niemniej to że nie chciała nam powiedzieć kto do niej pisze; i że w godzinę później pan Moore przybył do Trampton, a to jego nagłe zjawienie tak niespodziewane dla wszystkich, nie zadziwiło jej wcale; widać więc że uprzedził ją o tem listownie. Czy uwierzysz temu, Ulryku, że zaledwie posiedział z nami dziesięć minut, nie wstydzili się wyjść razem do ogrodu, i spacerować po tarasie tuż przed memi oczyma.

— Nie, nie, Maryanno, przewidziało ci się, to być nie może, rzekł Ulryk drżącym głosem.

— Przewidziało mi się! zawołała z gniewem; jakże mogłabym się pomylić, kiedy sama na to patrzyłam? Powiadam ci Ulryku że jesteś zupełnie ślepym kiedy idzie o tę dziewczynę, która, kiedy ty wyrzucasz pieniądze aby ją otoczyć zbytkiem, zdradza cię wdzięcząc się do tego młodzika, i oszukuje cię kiedy sądzisz że myśli tylko o tobie, i że w jej sercu nie ma dla ciebie nic skrytego. Czy nie wiesz o tem że znała pana Moore jeszcze w Antwerpii? Dla czegóż się tak zmieszała zobaczywszy go po raz pierwszy w Trampton? Wierz mi Ulryku że to co się dzieje teraz jest tylko dalszym ciągiem tego co się zaczęło za granicą.

Doktór Ford usiadł i odwrócił trochę głowę. Zdawało się że zapomniał o tych pilnych zajęciach któremi wymawiał się przed chwilą, jednak nikt nie potrafiłby poznać z jego twarzy, jak boleśnie dotknęły go udzielone mu wiadomości,

— Czy jesteś pewną, Maryanno, że ten list który Dora odebrała dziś rano; był od pana Moore a nie od kogoś innego?

— Zupełnie pewną, tak pewną jak tego że tu siedzę i rozmawiam z tobą.

— I że to nie pierwszy jaki odebrała od niego?

— Wszakże powiedziałam ci że już jeden sama jej oddałam poprzednio. Lecz są jeszcze rzeczy gorsze niż listy; wszakże spotkałam ich razem w salonie; gdzie nikt nie wchodzi, i gdzie ja sama znalazłam się tylko przypadkiem.

— Ten sam przypadek mógł tam zaprowadzić Dorę.

— I pana Moore także, wszak prawda? Nie pojmuje tylko czemu stali we framudze okna, jakby chcieli być bliżej siebie.

Doktór Ford westchnął a następnie wstał i zaczął przeglądać papiery.

— Nie mam czasu zajmować się tem obecnie, rzekł (rzeczywiście chciał ukryć przed siostrą jak go zaniepokoiła swem oskarżeniem); mam interes nie cierpiący zwłoki, ale zapewnie będę dziś wieczorem w Trampton, i pomówię o tem z Teodorą.

— Pomówisz o tem z Teodorą? zawołała miss Ford. Więc to taki skutek wywierają moje przestrogi? Dziwi mnie że tak spokojnie zapatrujesz się na te rzeczy.

— Nie widzę dla czego miałbym zapatrywać się na to inaczej, dopóki się nie przekonam że to co słyszałem jest rzeczywistą prawdą. a nie możesz mi wziąść za złe, Maryanno. jeżeli zwrócę na to twoją uwagę, że twoja jawna niechęć do Teodory i moje względem niej obowiązki; nakazują mi abym pozyskał niezbite dowody, zanim ją znieważę brakiem ufności w jej szczerość i przywiązanie.

— O! tak, ma się rozumieć, odpowiedziała z płaczem, wszystko co ja powiem nie zasługuje na wiarę, wolisz zaufać takiemu dzieciakowi, niżeli osobie z charakterem, tak wypróbowanym jak mój. Ale mogłam spodziewać się tego.

Nastąpiło milczenie przerywane tylko głośnym płaczem Maryanny, aż nakoniec rozjątrzona pozorną obojętnością brata, odezwała się z prawdziwie szatańską ironią:

— Słuchaj Ulryku, nie chcesz zwracać uwagi na moje przestrogi, mogę ci więc przepowiedzieć że dawne dzieje powtórzą się znowu. Raz już byłeś zdradzonym i teraz czeka cię to samo; Teodora cię zawiedzie jak cię zawiodła jej matka, i...

Chciała mówić dalej ale brat zwrócił się ku niej, i spojrzał na nią tak surowo że spuściła oczy i zamilkła nagle.

— Zdaje mi się, powiedział, że raz już zaleciłem ci abyś nigdy nie wspominała o tem. Co do postępowania Dory, mówił dalej, ja sam potrafię dowiedzieć się prawdy, i nie dziękuję ci bynajmniej że mi w tem chciałaś być pomocną. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie zdołam nigdy wyrazić ile jej zawdzięczam, jak mnie uszczęśliwia swem przywiązaniem; bo dopóki nie będę miał niezbitych dowodów że się omyliłem, nie przestanę wierzyć że mnie kocha miłością czystą i szczerą; a gdybym nawet doszedł do przekonania że łudziłem się tylko. nie mógłbym błogosławić ręki któraby mnie doprowadziła do tak smutnego odkrycia. A więc ani słowa więcej o tym przedmiocie, pragnę wierzyć że powiedziałaś mi to w przekonaniu że mi oddajesz przysługę, i będę się starał uwzględnić twoje chęci.

Zebrał papiery, wziął kapelusz, ale wychodząc zatrzymał się jeszcze na progu i rzekł zwracając się do siostry:

— Wheler powiedział mi że oglądałaś przyszłe moje mieszkanie.

— Widziałam parę pokojów, odpowiedziała z miną zadąsaną.

— A! chciałem właśnie porozumieć się z tobą co do mebli; wiem że masz pewną słabość do niektórych dawnych mebli, zwłaszcza do tych które należały kiedyś do naszej matki, proszę cię więc zatrzymaj dla siebie wszystko co tylko zechcesz.

— Nie rozumiem cię, zawołała zadziwiona.

— Zdaję mi się że to łatwo zrozumieć. Mówiłem że jeżeli chcesz wziąść ztąd jakieś meble i przenieść je do swego własnego mieszkania. powiedz tylko Wheler'owi, a każe je zanieść na wskazane przez ciebie miejsce. Zrobisz mi prawdziwą przyjemność zabierając z sobą wszystko co tylko może ci być potrzebne.

Był to dla miss Ford cios bardzo ciężki i niespodziewany; była dotąd pewną że pozostanie pod jednym dachem z Ulrykiem i Teodorą, i teraz doznała takiego uczucia jakby ziemia rozstąpiła się pod jej nogami. Będzie więc sama, zawsze sama! Czy wszelkie jej usiłowania w celu zniechęcenia brata do zaślubienia Teodory, do tego ją tylko doprowadziły. Więc sama pracowała nad tem aby Ulryk nabrał przekonania że mieszkając z nią razem nie będzie miał nigdy spokoju. Nie mogła uwierzyć w rzeczywistość takiego nieszczęścia, a w twarzy jej malowało się tak wielkie pognębienie, że Ulryk odezwał się łagodniej:

(d. c. n.)

Opis do N-ru 3.

(*Dokończenie*).

Między kwadratami wyszyć na pluszu gnązki srebrem i złotem. Atłasem podszyć poduszkę, brzegi oszyć różno kolorową włóczkową barankową torsadką, a w rogach dać różno kolorowe jedwabne kwasty ze złotem i srebrem mieszane.

N. 52 i 53. Kapturek do teatru lub na koncert upięty z hiszpańskiej koronki.

Zręczne przykrycie głowy upina się z koronki czarnej lub białej, na atłasie takiego samego koloru, albo na podszyciu kolorowem, np. vieil-or do koronki czarnej a blado różowem lub niebieskiem do białej. Foremkę stanowi podwójny pasek atłasowy, mający 24 centym. długości, w środku 5 centym. szerokości, do brzegów zwężony i drucikiem oszyty. Na tem upina się sposobem wskazanym na ryc. 52 i 53 szarfę koronkową atłasem podszytą, mającą 200 cent. długości a 35 cent. szerokości, w końcach zaokrągloną, w około 10 cent. szeroką koronką oszytą. Z tyłu dopełnia upięcie trójkąt z podwójnego atłasu, mający 68 cent. dolnej szerokości, 22 cent. bocznej długości, w górnym rogu zaokrąglony, w podwójną kontrafałdę złożony, między szarfę wszyty i ozdobiony kokardą ze wstążki atłasowej, 3 cent. szerokiej. Kokardy bierze się naprzód.

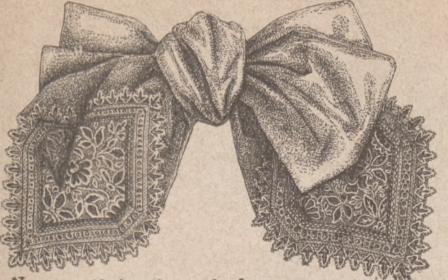
Opis do N-ru 4.

N. 1—4. Kokarda z haftem maurytańskim.

Materyał: cienkie szare płótno, cienki jedwab i pela w różnych kolorach, prawdziwe złote nici. Rycina 2 przedstawia w naturalnej wielkości gustowny haft maurytański stanowiący przyozdobienie końców przy kokardzie z blado żółtawego aksamitu. Tło z cieniutkiego szarego płótna ginie zupełnie pod haftem z kolorowego jedwabiu i złota; dla ułatwienia wykonania roboty podajemy w powiększeniu część szlaczku i jeden z listków środkowych na ryc. 3—4, na których wiuoczne są rodzaje ściegów i wiązanie nici. Kontury deseniu odznaczają się podwójną złotą nitką, naszytą na tle rzadkiem dzierganiem, z kolorowego jedwabiu. Przy ząbkach brzeżnych dane są pikoty układane z jednej ze złotych nitek, przymocowane ściegami dziergania.

N. 11 i 44. Woreczek Pompadour ozdobiony haftem.

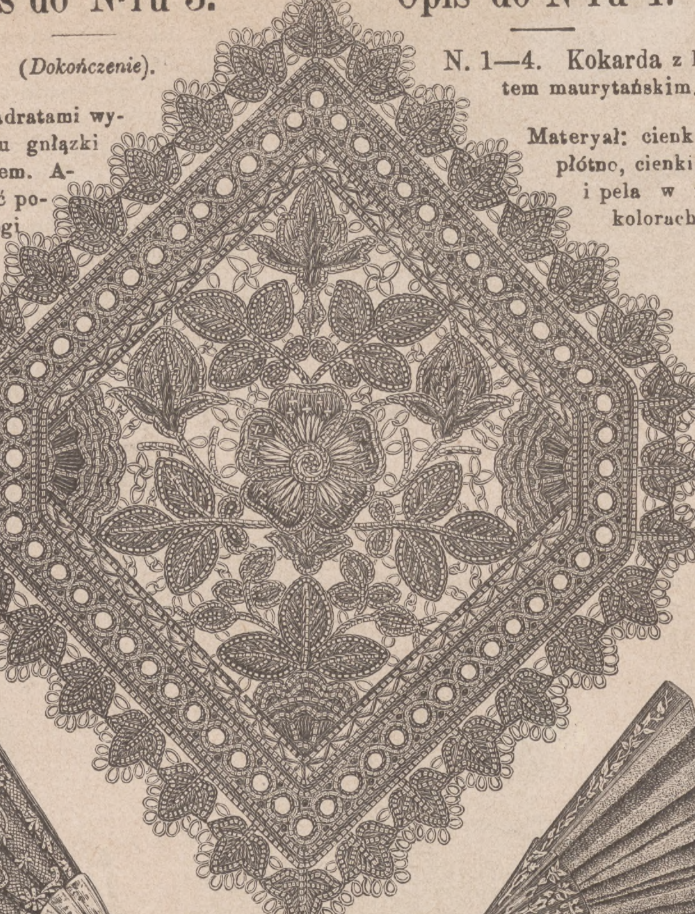
Dwa kawałki tektury po 13 cent. szerokie a po 16 długie wsunięte między zwierzchnie pokrycie i podszewkę stanowiącą sztywne ścianki woreczka. Wysłanie wewnętrzne i część górna ściągnięta na elastykę (40 cent. szeroka a 15 długa) dana z szafirowego atłasu; zwierzchnie pokrycie dane z bufowanego atłasu i przyozdobione arabeską z haftu którego trzecią część daliśmy na ryc. 44. Haft ten odrobiony na mięsistej materyi ponsowej ma kontury z nici złotych rzadko prze-



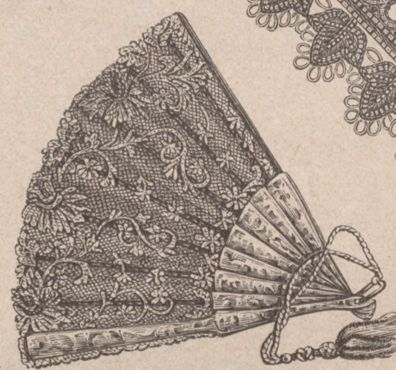
N. 1. Kokarda z haftem maurytańskim. Patrz ryc. 2—4.



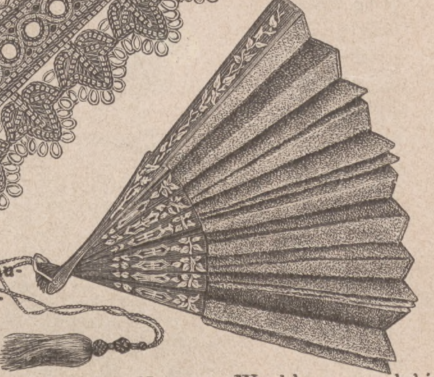
N 5—8. Modne agrafki i końce do kapelusza.



N. 2. Haft maurytański do ryc. 1. Patrz ryc. 3—4.



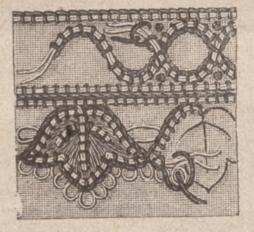
N. 9. Wachlarz z koronką.



N. 10. Wachlarz ze szlakiem



N. 11. Woreczek Pompadour ozdobiony aplikacyą. Patrz ryc. 44.



N. 3. Wykonanie szlaczku brzeżnego w hafcie maurytańskim ryc. 2.



N. 4. Listek do haftu maurytańskiego ryc. 2.



N. 12. Woreczek Pompadour z pluszu i atłasu.



N. 13—14. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 15. Berecik aksamitny dla młodej panienki. Patrz ryc. 16.



N. 17. Ramki aksamitne haftowane złotem. Czwarta część haftu na ryc. 18.



N. 16. Berecik aksamitny dla młodej panienk Przód patrz na ryc. 15.



N. 18. Haft złotem do ryc. 17.

dzierganych kolorowym jedwabiem; środkiem na materyi naszyte blaszki złote. Zakończenie aplikacyi haftu na woreczku stanowi rozeta szmuklerska ozdobiona kwaścikami sznelowemi.



N. 20. Rzucik do haftu kolorowego ryc. 30.

N. 12. Woreczek Pompadour z kieszonką

Rycina 12 przedstawia woreczek z ciemno pousowego pluszu 21 cent. długi, a 17 szeroki, na szwach ozdobiony safianową wypustką; podszewka i część górna dane z ponsowego atłasu. Na zwierzchniej stronie dodana kieszonka atłasowa na chusteczkę do nosa, ozdobiona na rogach wyciskami z żółtego safianu naśladującemi metalowe okucia.

N. 13—14. Suknia ze stanikiem z baskiną

Rycina 13 przedstawia suknię z materyału wełnianego ze szlakami jak przy chustkach, a ryc. 14 takąż suknię zdobną pluszem. Spódnicę zakończa plisowanie a po nad niem falbana w kontrafałdy; upięcie draperyi na sukni dostatecznie objaśniają ryciny. Stanik z baskiną ozdobiony jest drobniutkiem plisowaniem na plecach i z przodu i wielkim wykładanym kołnierzem. Baskina od boczków dopełniona jest szarfami tworzącemi z tyłu rodzaj karoczka.

N. 19 — 21 i ryc. 30. Serwetka do przykrycia koszyczka z robotą.

Serwetka licząca bez koronki brzeżnej 31 cent. w kwadrat odrobiona jest na nowym rodzaju rzadkiej jedwabej gazy, kolorową filozelą dzieloną po dwie nitki. Deseń i różne ściegi użyte do haftu wskazaliśmy na ryc. 19—21; po skończeniu roboty serwetka podszyta jest kolorową materyą i oszyta koronką wywodzoną nitką złotą.



N. 28. Sukienka z bluzkowym stanikiem dla młodej panienki.



N. 33. Suknia biała muślinowa.

N. 22. Kapelusz przybrany sznelą.

Kapelusz czarny pluszowy, z główką 8 cent. wysoką i rondkiem 10 cent. szerokiem, podszytem od spodu torsadką sznelową złotem przerabianą, przybranie zwierzchnie stanowi oryginalne upięcie sznelowe zakończone z grelotkami rozetą i agrafka metalowa upięta z tyłu.



N. 22. Kapelusz przybrany sznelą.

N. 23. Kapelusz z piór.

N. 23. Kapelusz z piór.

Cała główka i rondko pokryte są świecącemi czarnemi piórkami, przybranie zaś stanowią pióra przypięte z przodu nad czołem, wielka róża dodana z boku i końce z materyi surah koloru heliotropu.

N. 24—27. Ubrania do teatru i koncert.

N. 24. Kapelusz sznelowy i szeroki kołnierz z przewiązanemi końcami.

Szeroki wykładany kołnierz z żółtawej materyi surah, ogarnirowany koronką Vermicelle 6 cent. szeroką, ma dodane przy brzegach przednich końce przemarszczane na podstawie ze sztywnego tiulu, 5 cent. szerokie a 35 cent. długie oszyte z brzegów koronką i przewiązane na wcięciu stanu. Kapelusz stanowiący oryginalną nowość pokryty jest tkaniną sznelową, w kolorze złotym, cieniowanym we wszystkie możliwe odcienia. Rondko podszyte materyą vieil-or a z brzegów otoczone złotą torsadką; trzy blado różowe pióra przypięte fantazyjnie.



N. 24—27. Ubrania do teatru i na koncert.

N. 24. Kapelusz szenlowy i kołnierz z przewiązanemi końcami. N. 25. Stanik wycięty z bawetem. N. 26. Kołnierz ze wstążki i koronki i kapelusz z odwiniętem rondem. N. 27. Chusteczka z koronki point Duchesse.



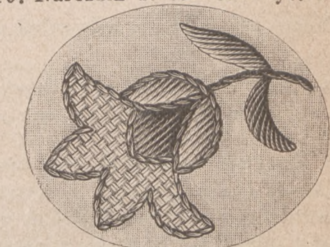
N. 29. Suknia z paletocikowym stanikiem dla młodej panienki.

N. 25. Stanik wycięty z bawetem.

Do strojnej sukni z blado niebieskiej adamaszkowej materyi, włożony stanik atłasowy z przodu ścięty bawetowo, z tyłu przedłużony we frakową baskinę. Plastron illuzyowy bufowany poprzecznie, z jednej strony zakończony sutą riuszą z drugiej zdobny gałązką kwiatów rozszerzającą się stopniowo do ramienia, ułożoną z róż, liści i niezapominajek. Takież kwiaty przy sukni i we włosach.



N. 19. Narożnik do serwetki ryc. 30.



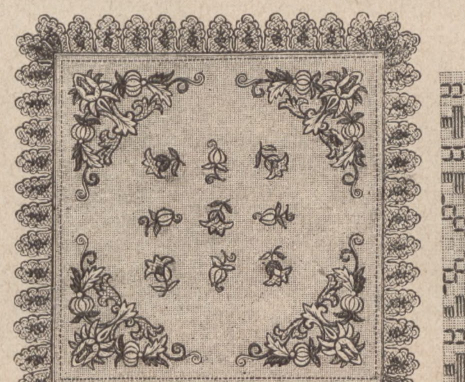
N. 21. Rzucik do haftu kolorowego ryc. 30.

N. 26. Kołnierz z koronki i wstążki i kapelusz z odwiniętem rondem.

Koronka wywodzona złotem, 4 c. szeroka i wstążka atłasowa 6 cent. szeroka ze złotym brzeżkiem, stanowi materyał na kołnierz chusteczkowy, przedstawiony na ryc. 26, odrobiony w kolorze czarnym. Na pasku sztywnego muślinu 44 cent. długim a 2 i pół szerokim, ufałdowany jest kołnierz ze wstążki lub z prostego kawałka atłasu 8 c. szerokiego; z przodu wstążka spuszczona jest gładko i związana u dołu w dużą kokardę. Brzegi wstążki oszyte koronką; pół długie rękawy zakończone odpowiednio.



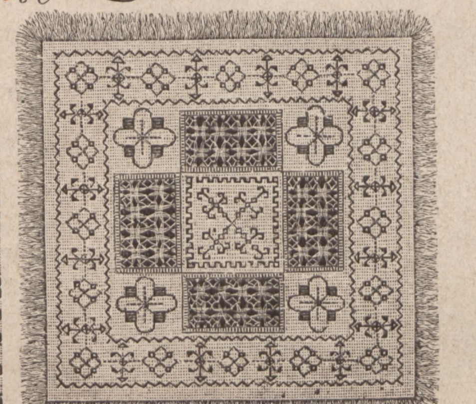
N. 34. Suknia z tuniką podpiętą z boku.



N. 30. Serwetka z haftem kolorowym do przykrycia koszyczka z robotą. Patrz r. 19-21.



N. 31. Szlak ściegiem gobelinowym, do serwet, ręczników i t. p.



N. 32. Serwetka z wyszyciem i kratką ażurową. Patrz ryc. 42.

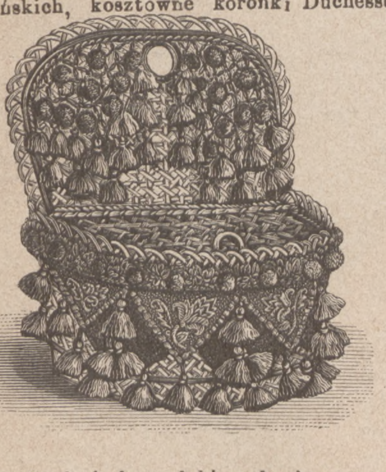
Kapelusz czarny filcowy podszyty granatowym aksamitem, ma brzegiem rondka torsadkę ze złotych perełek; przybranie zwierzchnie stanowi granatowy atłas, takież strusie pióro i agrafka złota.



N. 38. Wykonanie torsadki włóczkowej do ryc. 37.

N. 27. Chusteczka z koronki Duchesse.

Oprócz pięknych czarnych i białych koronek hiszpańskich, kosztowne koronki Duchesse ciągle modne są do strojnych toalet. Rycina 27 przedstawia chusteczkę dużą z koronki Duchesse z górnym brzegiem prostym a dolnym zakończonym z tyłu w ząb i z końcami zaokrąglonemi; długość chusteczka wynosi 236 c., środkowa szerokość 50 c. Końce związane z przodu spięte są kwiatami.



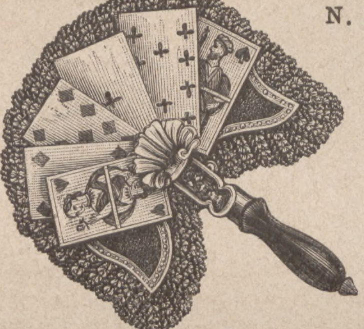
N. 35. Szyfonierka ozdobiona lambrekiną z kwaścikami. Patrz ryc. 36.



N. 39. Przykrycie na poręcz do krzesła.

N. 28. Sukienka z bluzkowym stanikiem dla młodej panienki.

Wszywka haftowana 4 centym. szeroka i takaż falbana 8 centym. szeroka stanowią przybranie gustownej sukienki. Spódniczka zakończona falbaną składaną w szerokie fałdy na którą zachodzi wolant haftowany, przyszyty riuszą; po nad riuszą dane w około poprzeczne fałdowanie. Tunika otwarta z przodu, z boków sfałdowana à panier, dopełniona jest z tyłu prostym podpinanym brytem. Stanik bluzkowy przybrany odpowiednio do sukni falbanką i wszywką daną wzdłuż przodów żabotowo. Pasek i kokardy ze wstążki atłasowej.

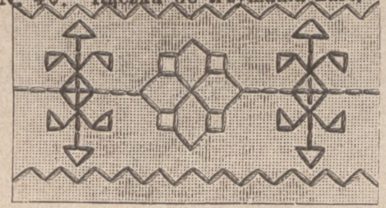




N. 36. Torsadka do ryc. 35.

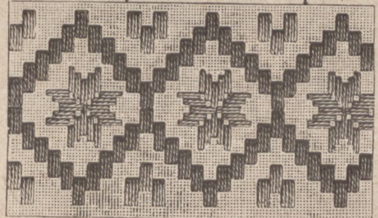


N. 40. Rączka do trzymania kart.



N. 42. Szlaczek do ryc. 32.

N. 41. Rączka do kart. Spód



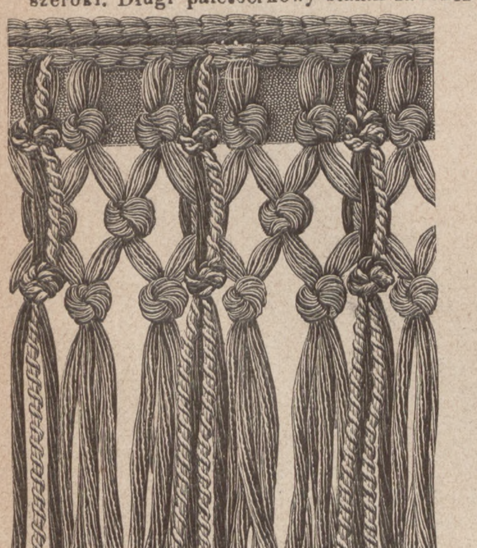
N. 43. Szlaczek do ryc. 32.



N. 44. Część aplikacyi do ryc. 11.

N. 29. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla młodej panienki.

Spódniczkę zdobią dwie szeroko składane falbany po 14 cent. i pas drobniutkiego przemarszczenia 10 cent. szeroki. Długi paletocikowy stanik zakończony wypustką, ma kołnierz, kieszonki, mankiety i przybranie wzdłuż przodów przemarszczane odpowiednio.



N. 46. Torsadka do ryc. 39.

N. 32 i 42. Serwetka z wyszyciem i kratką ażurową.

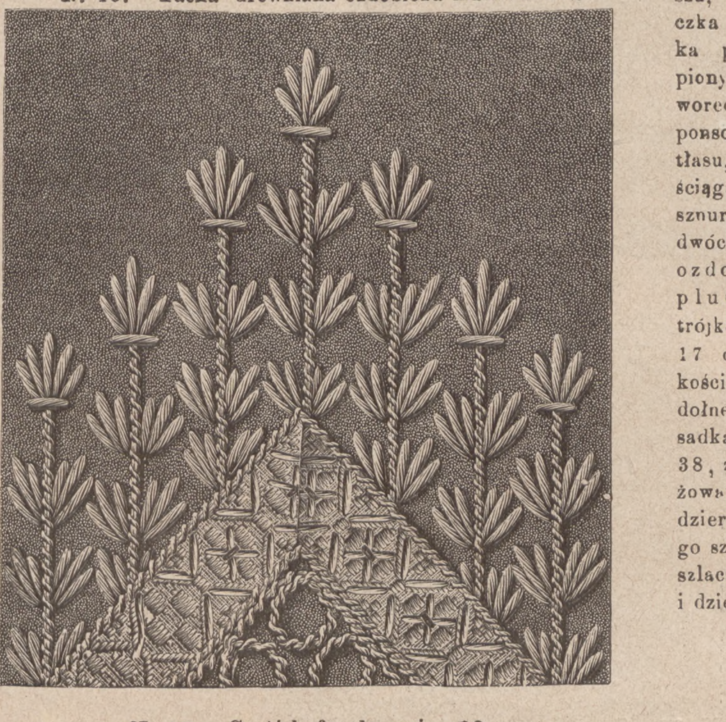
Odpowiednia do przykrycia małeńkiego stoliczka, poduszeczki, na toaletę, lub do mebli (Doily) liczy w kwadrat bez frendzli 20 cent. Tło stanowi płótno białe średniej grubości a ryc. 42 wskazuje szlaczek, wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony, bawełną ponsową Nr 35. Brzegi kratki ażurowej wyszywanej w pośrodku tła muszą być odziergane dla zamocowania.



N. 45. Tacka drewniana ozdobiona malowaniem.

N. 33. Suknia biała muślinowa.

Przybrana suto wszywką walansjenkową 3 cent. i koronką 5 cent. szeroką. Falbany plisowane dane na spódnicy, zakończane są wąziutką koroneczką. Przód i boki tuniki składają się naprzemian z pasów wszywki i buf 5 cent. szerokich; z tyłu dodany bryt prosty lekko podpięty. Podłużny wykrój stanika ogarnirowany suto plisowaniem i dopełniony chustką z przewiązanemi końcami.



N. 47 Część haftu do ryciny 39.

N. 34. Suknia z tuniką podpiętą z boku.

Na spódnicy kaszmirowej zakończonej plisowaniem, upięta jest długa i szeroka tunika, z pluszu odpowiedniego do kaszmiru koloru, odsłaniająca oryginalną daną z jednego boku na sukni kontrafałdę pluszową. Brzegi tuniki otwartej z boku przyczepione są niewidocznie do spódnicy, a fałdy podpięcia zebrane nad kontrafałdą kokardą wielką atłasową. Z drugiego boku tunika gdzieniegdzie podpięta spuszcza się aż na plisowanie; tylny bryt podpięty na taśmach przyszytych od spodu.



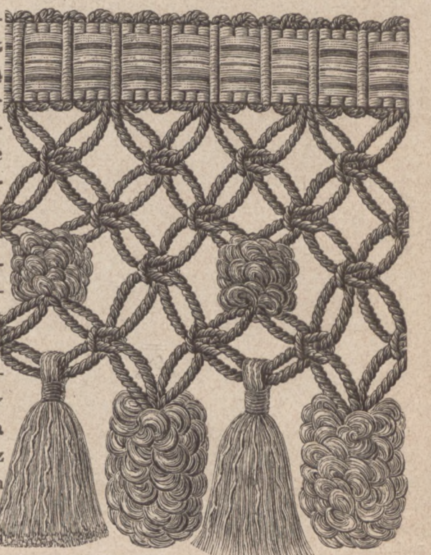
N. 37. Pudełko na chusteczki batystowe. Patrz ryc. 38.

N. 35 — 36. Szyfonierka.

Pleciona z trzcinki czarnej i białej ozdobiona jest lambrekinami z kolorowego aksamitu; przyszycie lambrekin przykrywa torsadka na widełkach obrobiona w górze szydełkiem i przybrana kulkami z włóczki angielskiej, podług ryciny 36. Tylna ścianka szyfonierki przysłonięta siatką z kulkami i kwaścikami z kolorowej włóczki.

N. 37—38. Pudełko na chusteczki batystowe.

Pudełko tekturowe z ruchomym wierzchem, 6 centym. wysokie a 16 w kwadrat liczące, pokryte jest w środku białą materyą matelassé. Zwierzchnie pokrycie dane z ponsowego pluszu; do wieczka pudełka przyczepiony jest woreczek ponsowego atłasu, u góry ściągany na sznureczki z dwóch stron ozdobiony pluszowemi trójkątami po 17 c. wysokości a 30 dolnej szerokości. Trójkąty te mają brzegi oszyte torsadką, odrobioną przy linijce tekturowej podług ryc. 38, z włóczki hamburgskiej i kulek. Wiązanie krzyżowanych nitek i zamocowanie brzegów ściegami dzierganemi, przymocowującemi włóczkę do kręconego sznureczka, objaśnia ryc. 38. Prócz torsadki dany szlaczek 3 centym. szeroki, wyszyty ściegiem luźnym i dzierganiem.



N. 48. Torsadka do ryc. 9 w N. 3.